Cena 15 zł.

ZDRÓJ

KULTURA * ŻYCIE * SZTUKA

P. W. S. P. w GDAŃSKU
Nr inw. 670

ROK III LUBLIN, 1 LUTEGO 1947 R. Nr 1 (26)

MARIAN GUMOWSKI

HERB MIASTA LUBLINA

Nie można powiedzieć jakoby herby były w zasadzie znakami bitewnymi*). Używane przede wszystkim w kancelariach i na pieczęciach były znakami własnościowymi przede wszystkim, godłami napieczętnymi. Herby rycerskie są tylko częścią tej wielkiej masy godeł, którą przynoszą nam pieczęcie ziemskie, miejskie, wiejskie, mieszczańskie etc.

Jeśli chodzi o pieczęcie i herby miejskie to rzeczywiście trudno byłoby doszukiwać się tutaj motywów wojennych i bitewnych. Mury i baszty forteczne, jakie najczęściej przynoszą, mają za zadanie symbolizować miasto, jego mury, gmachy i kościoły, ale nie mówią nigdy o jego wyprawach wojennych. Wiemy bowiem, że w czasie wojen krzyżackich XV w. najludniejsze miasta polskie wysyłały po kilku lub kilkunastu tylko zbrojnych na plac boju.

Miasta rzadko kiedy miały herb swój nadany przez zwierzchnią władzę książęcą lub królewską. Częściej obierały sobie to godło same i to w chwili, kiedy go potrzebowały. Chwila taka przychodziła wnet po lokacji miasta, t.j. po otrzymaniu samorządu, kiedy miasto budowało ratusz, organizowało kancelarię i sprawiało pieczęć, konieczną do wystawianych aktów. Pieczęć obok napisu musiała mieć godło, czyli herb miejski, który wówczas wybrany, powtarzał się z mniejszymi lub większymi zmianami przez całe późniejsze wieki.

Wiadomo, że samorząd m. Lublina datuje się od 1317 r., t.j. od czasu, kiedy miasto otrzymało od Władysława Łokietka prawo magdeburskie. Otóż z tych lub nie wiele późniejszych czasów pochodzi najstarsza pieczęć miasta wielkości 43 mm, która wyobraża spokojnie stojącego kozła o dużych rogach i długiej sierści, która nosi napis majuskułą XIV-wieczną: S. CIVITATIS LUBLINENSIS. Pieczęć taką znaleźliśmy na jednym dokumencie z 1401 r. w Archiwum toruńskim, a była również przy akcie z 1416 roku, wspomnianym w skarbcu dyplomatów Damiłowicza. Używaną zaś jeszcze była dłużej, gdyż w Archiwum lubelskim znalazł się dokument z 1552 r. z tą pieczęcią. Przy porównaniu z odciskiem z 1401 r. można zauważyć, że tłok pieczętny był w XVI wieku nieco poprawiany, co nie byłoby nic dziwnego, gdyż przy używaniu przez 300 lat bez przerwy musiał się zniszczyć odpowiednio. Odlewy tej pieczęci znane są z Muzeum Czapskich w Krakowie i ze biorów Pawlikowskich we Lwowie, a rysunek jej znaleźć można w Encyklopedii Orgelbranda, w dziele Engla o średniowiecznych pieczęciach archiwum toruńskiego i w czasopiśmie „Die Burg" 1941, ze z. 2, str. 64 w artykule Rondta.

W ten sposób upadają wywody niektórych badaczy (Wojciechowski etc.) jakoby herb Lublina powstał w XVII wieku dopiero i jakoby starsze pieczęcie miasta były nieznane. Możliwe, że w wiekach średnich, poza wyżej opisaną pieczęcią XIV-wieczną, innych nie było, a przynajmniej dotąd ich nie znamy, ale już wiek XVI przynosi szereg nowych pieczęci większych i mniejszych, które wprowadzają do herbu pewne zmiany. Są to pieczęcie: radziecka i ławnicza oraz sygnety miejskie i wójtowski.

Pieczęć radziecka jest w dwóch odmianach, większej i mniejszej (53 i 34 mm), przy czym ta druga ma datę 1535 umieszczoną w polu przy koźle. Obie wyobrażają kozła stojącego na tylnych łapach i wspinającego się na krzew winny. Większa znajduje się na dokumencie z 1605 r. w Muzeum Czapskich w Krakowie, mniejsza na aktach z 1535, 38 i 1625 w Archiwum lubelskim. Nieco wcześniejszą zdaje się być pieczęć ławnicza (scabinorum), gdyż styl jej wskazuje na początek XVI w. Średnica jej 32 mm, a wyobraża pół kozła i gałązkę z kwiatem lub winnym gronem.

Pieczątek sygnetowych, a zatem z pierścienia odciskanych przyniósł wiek XVI aż 4, a to 3 miejskie burmistrzowskie i jedną wójtowską. Pierwsze mają na stemplu literki SPQL (senatus populusque lublinensis) oraz w tarczy kozła wspinającego się na winorośl, drugie mają tylko SAL (sigillum advocat lublinensis) i w tarczy pół kozła opartego o łodygę winogradu.

Nie będziemy tu opisywali dalszych pieczęci z XVII i XVIII wieku, przynoszących dalsze odmiany herbu miejskiego. Jest ich spora ilość, najważniejsze zaś z nich to ostatnie pieczęcie z czasów Stanisława Augusta XVIII wieku, burmistrzowska i wójtowska, które wyobrażają znów samego tylko kozła skaczącego wprawdzie, ale bez winnego grona u boku. Latorośl zatem jest dodatkiem XVI wieku, który przetrwał wiek XVII, ale nie utrzymał się w wieku XVIII.

Jest rzeczą jasną, że herb z kozłem latoroślą występuje i na innych zabytkach lubelskich XVII wieku np. na oprawach starych ksiąg miejskich, na białaszanej chorągwi u szczytu magistratu etc. Niemniej zanotować należy, że na jednej księdze z 1640 roku koziołek skacze do kwiatu a nie ku winnemu gronu. Nie ulega też wątpliwości, że w średnich wiekach, a może też i w XVIII wieku zabytki tego rodzaju nosiłyby kozła samego, bez kwiatu czy grona u boku.

Niemniej stwierdzić należy, że na żadnej pieczęci nie ma ani pagórka, ani słupka przy latorośli, jak to się Dr. St. Wojciechowskiemu zdawało. („Zdrój" 1. X. 1945 r.). Dlatego też i mucie jakichkolwiek wywodów o kulcie ziemi, słupa czy kłody nie wiąże się zupełnie z tematem, nie mówiąc o tym, że wywody takie są zupełnie nierealne. W Polsce nawet pogańskiej nie było kultu ziemi ani kultu słupa i źródła historyczne nic nam o tym nie mówią. Wiązać zaś kult słupa z herbem staropolskim „Jelita" jest takim samym nieporozumieniem, jak wiązać kozła herbowego Lublina z herbami rycerskimi „Półkozic", „Koziegłowy" etc. Są to rzeczy zupełnie niewspółmierne, które nigdy do jednego mianownika sprowadzić się nie dadzą.

Tak samo nie można z winorośli robić łodygi chmielu, której na pieczęciach nie ma i wiązać jej z obrzędami ludowymi i dawnymi zwyczajami pogańskimi. Nie ma ku temu żadnego uzasadnienia, tym bardziej, że pieczęć miejska z XIV i XV wieku w ogóle żadnej latorośli nie wykazuje. Jest rzeczą ciekawą, jak bardzo u wielu autorów naszych, zwłaszcza badaczy ludowych zakorzenił się zwyczaj dopatrywania się w rozmaitych obchodach, zabawach i uroczystościach ludowych pozostałości z czasów pogań-

(Dalszy ciąg na str. 2-giej).

*) Takie i inne nieuzasadnione twierdzenia ukazały się w artykule S. Wojciechowskiego w „Zdroju" lubelskim 1945 r. Nr. 3 z LX.

Nasze cele i zadania

Od ukazania się ostatniego numeru „Zdroju" upłynęło kilka miesięcy. W okresie tej różnymi przyczynami spowodowanej przerwy byliśmy świadkami różnorakich komentarzy próbujących przerwę w ukazywaniu się naszego pisma wyjaśnić. Wśród tych różnych głosów były takie, które uważały, że pismo się przeżyło, wyczerpało, straciło oddech itp., ale były i głosy milczeniem „Zdroju" szczerze zaniepokojone, głosy żałujące i współczujące z faktem umilknięcia jedynego na terenie Lublina pisma literackiego, na którego łamach mogło się przejawiać odradzające się w żywym tempie życie literackie naszego regionu, szczególnie zaś ruch literacki powojennego Lublina. O ile bowiem wychodzący przez pewien czas w Lublinie dwutygodnik „Światło" miał, względnie chciał mieć charakter pisma świetlicowego, a więc z natury rzeczy program jego był odpowiednio zwężony — „Zdrojowi" zakreślano program znacznie szerszy, wachlarz jego zainteresowań był bardziej rozległy.

W jakim stopniu i na jakim poziomie „Zdrój" swoje cele osiągał, stwierdzały to głosy krytyki zawodowej i opinii powszechnej. Oba te czynniki wypowiedziały się niejednokrotnie o stronach dodatnich i ujemnych naszego pisma.

Oddając do rąk sympatyków i przeciwników pierwszy numer odrodzonego „Zdroju" pragniemy przedstawić zwięźle nakreślone nasze cele i zamiary.

Chcemy, by „Zdrój" jako pismo literackie regionu lubelskiego był w pierwszym rzędzie odzwierciedleniem tego życia umysłowego w ogólności i literackiego w szczególności, które coraz głębszym i szerszym nurtem płynie w naszym środowisku, bez względu na zabarwienie polityczne poszczególnych tego życia twórców. Świadomi przemian dokonanych i dokonywujących się w naszym odrodzonym życiu narodowym pragniemy stworzyć na łamach naszego pisma platformę, na której będzie mógł się wyrazić przejaw każdego prawdziwego talentu pisarskiego. Otwieramy szeroko i szczerze kolumny „Zdroju" dla wszystkich pisarzy żyjących i piszących na Lubelszczyźnie: dla tych, których nazwisko utrwaliło się w naszym dorobku literackim i dla tych, którzy na tym polu pierwsze dopiero stawiają kroki. Zapraszamy do współpracy wszystkich bez wyjątku dotychczasowych współpracowników „Zdroju", kierując równocześnie to zaproszenie i do wszystkich innych, którzy z różnych przyczyn ze „Zdrojem" dotychczas nie współpracowali.

Nie zacieśniając ram naszego oddziaływania i koordynacji twórczości literackiej do życia literackiego regionu lubelskiego, chcemy być pismem rejestrującym całokształt polskiego życia literackiego w ogóle. W tym celu starać się będziemy, by na łamach naszego pisma wypowiadali się najwybitniejsi współcześni pisarze polscy, dbając równocześnie o to, by kronika polskiego ruchu literackiego znalazła się w każdym numerze pisma.

W rozumieniu tworzącej się na naszych oczach nowej epoki w dziejach Europy i poza jej kręgiem: epoki ludów słowiańskich, dla których wybiła godzina dziejowa, jeśli nie misji szczególnej, to w każdym razie równorzędnej roli w kształtowaniu nowego układu sił i stosunków w Europie — chcemy kulturze wszystkich narodów słowiańskich poświęcić należytą uwagę i właściwe miejsce.

By jednak nie zasklepić się w sprawach polskich i słowiańskich, a wskutek tego izolować się od bogatego życia kulturalnego innych ludów, nie będziemy pomijać milczeniem tych przejawów życia umysłowego i literackiego ludów świata, jakie dzieją się równocześnie, a często i w powiązaniu z naszym własnym życiem.

Będąc w zasadzie organem literackim „Zdrój" interesować się będzie żywo życiem przejawiającym się w innych dziedzinach kultury duchowej polskiej i ogólnoludzkiej. By to zadanie należycie wykonać, zaprosiliśmy do współpracy najwybitniejszych przedstawicieli naszej muzyki, plastyki, naszego teatru itd.

Wznawiając wydawnictwo „Zdroju" wyrażamy głębokie przekonanie, że nie odmówi nam swojej współpracy nikt, dla kogo poziom naszego życia duchowego, a tym samym i jego zwierciadło, jakim powinien być „Zdrój", jest sprawą bliską i drogą...

Nie będąc organem jakiejś określonej grupy literackiej czy organizacji pragniemy utrzymać ścisły kontakt ze wszystkimi, którzy w życiu duchowym biorą czynny udział; w pierwszym rzędzie utrzymać chcemy bliski kontakt i harmonijną współpracę z lubelskim Oddziałem Związku Zawodowego Literatów Polskich oraz innymi lubelskimi ośrodkami życia artystycznego.

Przeświadczeni o słuszności i powadze naszych celów żywimy głęboką nadzieję, że cele te potrafimy w pełni osiągnąć i że w wyniku ostatecznym „Zdrój" stanie się tym, co tkwi w jego nazwie: krynicą naszego życia kulturalnego.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

Szczyty poezji rosyjskiej

I.

Poezja to świat górski, gdzie bliżej gwiazd i słońca, skąd wzrok obejmuje horyzonty oczom mieszkańców padołu niedołężne. Powietrze tam rzeźkie i czyste, a kto się w nim skąpie, nierad wraca na niziny. I nawet dzisiejszy poeta społeczny, pozbawiony wszelkich koturnów, niwelujący w tłumie swą odrębność i roztapiający się w gromadzie, której ideałów jest wyrazicielem, wystrzela przecież wysoko ponad codzienną powszedniość już choćby przez to, że on, a nie kto inny, potrzeb tej gromady staje się piewcą, że on tylko w niezawodnej poetyckiej syntezie zdolny jest trafny przekrój współczesności uczynić.

Rzućmy okiem na rozciągające się na przestrzeni stulecia pasmo wysokogórskie poezji rosyjskiej. Wśród wielu niebotyków wyróżnijmy kilka:

„Nocowała złota chmurka w górze
na olbrzymie — granitowym szczycie,
a ze snu zbudziwszy się o świcie
w dal pomknęła żwawo po lazurze.

Lecz pozostał po niej ślad wilgotny
w zmarszczce szczytu sędziwego: oko
zamyślone w niebo wbił głęboko
i cichutko roni łzy samotny".

Ten „Ucios" olbrzymi, wyniesiony ponad ziemskie rozdoły, obcy, zda się, cierpieniom ludzi i obojętny na wszystkie ich sprawy, a jednocześnie cicho roniący łzy w swej samotności w tęsknocie za chmurką, która na chwilę przerwała jego izolację — to wierny obraz duszy poety. Michał Lermontow właśnie odczuwający cały blichtr życia wielkomiejskiego i banalność środowiska, w jakim musiał się obracać, on, który ze smutkiem patrzał na współczesnych o „przyszłości pustej lub ciemnej", on, który pragnął „zmącić ich wesołość" i „zuchwale w oczy im żelazny cisnąć wiersz, goryczą zlany słów i złością" — szczególniej musiał swe osamotnienie odczuwać. Oficer o niepowściągliwym języku, ściągającym na poetę represje władz, kochający ojczyznę „dziwną miłością", jakżeż daleką od imperialistycznych zapędów urzędowych patriotów... Nieszczęsny „Prorok", co spojrzawszy bacznie w bliźnich oczy, odczyta każdy grzech człowieczy", smagany za to szyderstwem tych, którym głosił miłość..."

„Patrzcie, to przykład dla was dzieci!
Jego uwiodła pycha pusta.
Chciał, głupiec, wmówić w nas — czy wiecie? —
że Bóg przez jego mówi usta.

Patrzcie na jego dolę twardą:
jaki jest chmurny, nędzny, blady,
jak go znać nie chce nikt z gromady,
jak każdy smaga go pogardą!"

Stąd krańcowy pesymizm Lermontowa. Stąd takie przejmujące wersze, jak ten oto ustęp z utworu: „I nuda i smutek". „Życie — zrozumiesz, gdy spojrzysz z uwagą dokoła, to tylko żart głupi i pusty", lub rozpaczliwe w swym okrutnym sarkazmie „Podziękowanie":

„Za wszystko, Boże, ci stokrotne dzięki:
Za męki serca, których nikt nie słucha,
Za gorycz łez i za trujące wdzięki,
Za zemstę wroga i za potwarz druha.

Za wszystko, w czym mnie oszukało życie,
Za ogień duszy — dzisiaj już w popiele —
spraw tylko jedno, o Panie w błękicie,
abym dziękować mógł już dni niewiele".

W takich chwilach tylko przyroda godzi Lermontowa z życiem. W jej pierwotnym, nieskażonym przez człowieka pięknie, odradza się dusza poety, przez nią zbliża się on do Absolutu. Natura koi rany duchowe i wlewa do serca balsam spokoju. Śliczne myśl tę wyraził Lermontow w jednym z najpiękniejszych swych wierszy: „Gdy lekki muska wiatr żółkrące włosy niwy":

„...Ach, wtedy pierzcha gdzieś niepokój mój i trwoga
i rozpogadza się zmarszczona troską skroń,
i szczęście ziemskie już wyciąga do mnie dłoń,
i widzę tam — w niebiosach Boga".

Ale najbardziej ukochał Lermontow dziki Kaukaz, którego piękno oddał w „Demonie" i innych poematach oraz w powieści „Bohater współczesny".

Nawet w proroczym „Śnie", któremu sądzone było tak rychło się spełnić, widzi swe zwłoki u podnóża umiłowanych wierchów:

„W południa skwar w dolinie Dagestanu
leżałem trup — w obliczu zimnych gór.
Głęboka wciąż dymiła jeszcze rana
i z piersi krwi się sączył lepki sznur".

Nierozsądny pojedynek, w który wplątał się 27-letni poeta z przedwieczną wiernością zmaterializował tę poetycką wizję:

„Powyżej chmur, rzuciwszy góry
pod sobą depcąc lasu zrąb,
ty śmiertelnika wzrok ponury
na siną nieba wołasz głąb" —

mówi o poecie Afanasij Fiet. Ten nie próbował nawet nigdy jak Lermontow zejść ze szczytu do ludzi:

„Twym losem — na krawędź świata nie schodzić w dół, lecz ciągnąć wzwyż".

Autor „Ogni wieczornych", piewca najprzeróżniejszych nastrojów, najrozliczniejszych tematów, w których miłość i natura we wszystkich porach roku główną spełniają rolę, głęboki myśliciel, stwierdzający, że „w cierpieniu tli się radość", poeta o umyśle wybitnie refleksyjnym, — z rezygnacją kończący radosny wiersz o wiośnie taką pełną przepięknej prostoty myślą:

„Umilkniemy jak wśród bzów
chóry ptasie,
wtedy przyjdą śpiewać znów
dzieci nasze.

A po dzieciach wzniosą śpiew
znów wnukowie
i to samo wiosny wiew
im opowie..."

— to jeden z najciekawszych poetów rosyjskich, 72-letni starzec, o ile można do niego to określenie zastosować, do śmierci zachował dar twórczy. W ósmej dziesiątce życia pisał tchnące świeżością erotyki, których by mu pozazdrościł niejeden młodzieńczy Gustaw. Na wiele lat przed futuryzmem odkrył, że piękno jest wszędzie i zadaniem poety jest właśnie otworzyć ludziom na nie oczy.

„Pszczoła jedynie poznaje miód, co się
w kwiatach ukrywa,
tylko artysta potrafi we wszystkim piękna
czuć ślad".

Wiersze Fieta odznaczają się niezwykłą melodyjnością. Niektóre z nich pod tym względem to prawdziwe arcydzieła, jak na przykład ten słynny majstersztyk:

„Szept. Nieśmiałych westchnień szmery
i słowiczy trel.
Potok srebra z atmosfery
na ruczaju bił.

Światło nocne, nocne cienie,
cieni niema straż:
czarnoksięskie przemienienie:
ukochanej twarz.

W lotnych mgiełkach — róż zakrzepły
i bursztynu blask.
I pieszczoty i łzy ciepłe,
i już brzask, już brzask!"

A oto szczyt odosobniony — tak indywidualny w swych kształtach, tak pełen własnego wyrazu i dumnego piękna, że oczu od niego oderwać nie można. Ale spojrzeć w dół z tej wysokości — strasznie: tak przeraźliwe otwierają się głębie.

To Fiodor Tutczew, filozof, panteista, poeta natury, miłości i śmierci. Któż z wierszopisów nie kreślił obrazów natury? Ale nikt chyba nie potrafił tak dogłębnie wczuć się w jej tajemnicę. I czy to będzie „Burza w wiosennia", „gdy za błyskawic tańcem w trop, jak dla igraszki, jak dla psoty— w posadach drży niebeski strop", czy alpejskich „pomarwiałe szczytów głowy", co „przeraźliwym chłodem raża", czy „świetlistość wieczorów jesiennych" —

„to rozmodlenie na nieba lazurze
ponad smutnymi ziemi obszarami
i jak zapowiedź nadchodzącej burzy
wiatr porywisty i jasny czasami",

czy rozwścieczone morze, co

„leci, pędzi coraz chyżej,
świszcze, kipi, trąbi w róg,
do najdalszych rwie się wyży,
sięgnąć chce gwieździstych dróg" —

zawsze i wszędzie u tego poety natura żyje:

„Nie tym, co sądzisz jest przyroda,
nie zlepek to, nie martwy twór:
w niej dusza jest, w niej jest swoboda,
w niej miłość jest i własny chór".

Nie widzą nic, nie słyszą wcale,
na świecie żyją jak we mgle,
bezgłośne dla nich morskie fale
i martwe słońce blask im śle.

Czy winić ich? Jak głuchy może
organów pojąć czysty dźwięk?
Ach, duszy jego nie zatrwoży
rodzonej matki nawet jęk!"

Lecz ta przyroda żyje własnym życiem, dalekim od spraw ludzkich, dla których jest obojętna:

„Ach, wiosna! Ta was nie zna zgoła,
obcy jej zła wszelkiego mrok,
żadna jej zmarszczka nie ćmi czoła,
nieśmiertelnością lśni jej wzrok.

Posłuszna sprawom swym jedynie
swą obojętną, świętą twarz,
jak bóstwo w znanej jej godzinie
obraca na ten podół nasz..."

Ale najbardziej wymowna, najbardziej swą tajemnicą przerażająca dla Tutczewa jest metafizyka „Nocy". Poświęcił jej kilka wierszy, wszystkie urzekają wprost swą głębią:

„Jak obszar mórz otacza zewsząd ląd,
tak życie w krąg jest otoczone snami.
Nadejdzie noc, dźwięcznymi już falami
o ziemi brzeg żywiołu bije prąd.

To jego głos: on kusi nas i prosi
w przystani łódź czarowna wabi w dal,
a przypływ grzmi i szybko nas unosi
w nicogarnioność swoich ciemnych fal.

Z otchłannych den spogląda nam w oblicze,
palący się w gwiazd glorii niebny dzwon
i płyniem tam, a przepaść tajemnicza
otacza ogniem nas ze wszystkich stron".

A miłość Tutczewa — to groźny żywioł, dwóch serc „w jedność się fatalne zlanie i... pojedynek ich na śmierć". Niszczy i przepala duszę kochanki, która skarży się:

„Dzień za dniem w oburzeniu i tęsknocie
płynie,
w łzach, gniewie — dusza ma zraniona
trwa:
ja cierpię, ale żyję — żyję nim jedynie,
lecz życie to, ach! jakąż gorycz ma!"

A w innym wierszu poeta wyznaje:

„Ach, jak zabójczo miłujemy,
jak ślepi namiętności głos
i jak najpewniej zadajemy
najbliższym sercu zgubny cios!"

Śmierć Tiutczewa nie ma przerażającego oblicza. Zna ją z jesiennej agonii natury:

„Jak to, co więdnie, jest nam miłe,
jakim urokiem wabi nas,
gdy to, co kwitło i co żyło,
a co się teraz wycieńczyło,
ostatni się uśmiechnie raz!"

Symbolem jej staje się dla niego wosenne roztopienie się w marcu płynących po rzece kier lodu:

„Wielkie czy małe — razem wszystkie
straciwszy swój pierwotny kształt
zleją się chłodne z mórz Achliskiem
i zginą wśród spienionych fal.

O myśli ludzkich omamienie,
o ty, człowiecze, dumne „ja",
czyż to nie twoje przeznaczenie,
czyż nie tak kończy się twa gra?!"

Toteż, gdy śmierć nadejdzie, przyjmie ją odważnie, po męsku, jak w tym wierszu pisanym po śmierci brata:

„Bracie, coś ze mną kroczył przez lat tyle
i ty odszedłeś tak jak inni — tam:
na zrębie nagim liczę swoje chwile —
dokoła pustka i już jestem sam.

Dni policzone, strat swych już nie zliczę,
życie ostatni uczyniło gest:
nie ma kryć kogo — w dal wpieram oblicze
i na mnie kolej już następna jest".

I tylko jedno ma życzenie pośmiertne:

„O nie kładźcie tylko mnie
do wilgotnej ziemi.
Niechaj trawa skryje mnie
liśćmi swemi.
Niech wietrzyka słodki wiew
lekko ją potrąca,
niech ligawki słyszę śpiew,
gdy obłoki spoza drzew
cicho płyną w blask miesiąca..."

(D. n.).

HERB MIASTA LUBLINA

(Dokończenie ze str. 1-szej).

skich. Nie zdają sobie sprawy z tego, że choćby te obchody poświadczone były w źródłach nawet XV wieku, to jeszcze 500 lat trzeba przekroczyć, by cofnąć się do czasów pogańskich i zrowu źródłami to udowodnić.

Nie może też być mowy o tym, by z przeżytków pogańskich i kultowych brano motywy heraldyczne do tarcz i pieczęci. Miasta polskie w chwili lokacji miały ludność w warstwie czołowej, nadającej ton, przeważnie niemiecką, która daleką była od kultów pogańskiej Polski i od obchodów ludowych na wsi polskiej. Jeżeli mieszkańcy Lublina wybrali w XIV wieku kozła za swoje godło, to z pewnością nie dlatego, że ten kozioł grał jakąś rolę w ludowych polskich uroczystościach i że dziś widzimy w nim symbol płodności. Kozła wybrano tu na tej samej podstawie, co niedźwiedzia w Przemyślu, a syrenę w Warszawie, t.j. zupełnie przypadkowo. Może z nazwą kozła (Bock) miał coś wspólnego ówczesny wójt miejski, a może nazwa i herb ten przypominały miasto niemieckie, z którego pierwsi osadnicy pochodzili. Dziś tego nie wiemy, tak, jak nie znamy przyczyny powstania wielu innych herbów miejskich w XIII i XIV wieku. Niemniej snucie na ten temat fantazji ludoznawczo-pogańskiej jest w nauce niedopuszczalne, a w praktyce nierealne, do tego najzupełniej niepotrzebne.

Marian Gumowski.

NARCYZ ŁUBNICKI

MATERIALIZM A IDEALIZM (III)

Stanowiska religijne

JAK ŁATWO UJŚĆ ZA BEZBOŻNIKA

Materializm w dziedzinie religii — to ateizm.

W tym sensie nazywano materialistą Voltaire'a, posądzanego o ateizm. W rzeczywistości wielki starzec z Ferney nie był zdeklarowanym ateistą. Słynny jest jego aforyzm: „si Dieu n'existait pas, il faudrait l'inventer" („gdyby Bóg nie istniał, należałoby Go wymyślić") wskazuje na to, że uznawał wartość uczucia religijnego, choć odnosił się ze zjadliwym sceptycyzmem do prób oparcia o objawienie dowodu istnienia Boga lub jakichkolwiek dogmatów religii kościelnej.

Skłaniał się raczej ku deizmowi, poglądowi rozwijanemu przez ówczesną filozofię angielską, według którego istnieje rozumna Praprzyczyna świata, nie wtrącająca się do jego dziejów. Działanie jej miało się ograniczać do zmontowania świata i do „puszczenia go w ruch" nakształt zegara. Dalej świat miał się rozwijać według własnych praw, bez ingerencji czynnika boskiego, bez „cudów", jak sprężyna zegarowa, nakręcona raz przez wytrawnego zegarmistrza, rozwija się bez jego udziału. Deizm, jak widzimy, nie jest ateizmem, choć się do niego zbliża w poglądzie na naturalny rozwój świata Toteż Votaire, szermujący niejednokrotnie argumentami deistycznymi nie jest skończonym materialistą w dziedzinie religii (tj. ateistą), za jakiego często uchodzi.

Podobnie jak deistów, posądza się nieraz o ateizm panteistów, głoszących, że nie ma Boga poza światem; że wszechświat jako całość jest wieczny i doskonały i jest tożsamy z Bogiem. Najwybitniejszych panteistów Giordana, Bruna, Spinozę uważano za ateistów i jako ateistów prześadowano; ale i oni oczywiście nie byli tym, za co ich brano, gdyż mimo, że odmawiali Bogu osobowości, przypisaywali światu charakter boski.

DETRONIZACJA KRÓLA KRÓLÓW

Ateistami klasycznymi, czyli typowymi — w popularnym rozumieniu — materialistami w dziedzinie religii są (żeby wymienić najwybitniejszych): w Indiach — już Kapila, twórca Samkhyi; w Europie: Demokryt, Epikur, Lamettrie, Holbach, Stirner, Büchner, Feuerbach, Marx i Engels, Lenin. Wszyscy oni odrzucają „hipotezę" Boga lub „bajkę o Bogu" jako zbędne, a nawet szkodliwe konstrukcje fantazji, bądź zatruwające życie człowieka nieuzasadnionym lękiem przed „karami nieba" (Epikur), bądź służące do uciemiężenia warstw nieposiadających przez możnych świata (marksizm).

Pierwszym wybitnym ateistą w dziejach myśli europejskiej był Demokryt. Rozpatrując świat cały jako kombinację niepodzielnych cząsteczek materii, nie pozostawiał w nim miejsca dla Boga. Ale i poza światem nie umiejscawiał Boga, twierdząc, że wszechświat powstał i istnieje nie na mocy jakiejś zewnętrznej, wyższej woli, lecz wyłącznie w wyniku współdziałania ruchów tkwiących w samej materii.

Ateizm od Demokryta przejął Epikur, a wielbiciel jego Lukrecjusz w swym słynnym poemacie filozoficznym „De natura rerum" rozwijał dalej koncepcję ateistyczną i przedstawiał ją w efektownej formie. „Epikur, pisze Lukrecjusz, był pierwszym ze śmiertelników, który odważył się podeptać nogami wszystkie religie i zabobony, przygniatające nasze głowy do prochu ziemskiego, i opanować wraz z nami niebo". I dalej: „pierwszych bogów na ziemi stworzył strach". Jak Epikur, Lukrecjusz sądził, że szczęście ludzkości wymaga zniszczenia religii. Podobnie Hobbes określał religię jako „strach przed niewidzialną siłą wyimaginowaną na podstawie wymysłów, dopuszczonych przez państwo", a powstałych „wskutek nieznajomości właściwych przyczyn rzeczy".

Faktycznym, choć nie jawnym materialistą w dziedzinie religii jest Piotr Bayle, wnikliwy autor „Słownika historycznego i krytycznego". Bayle wykazuje sprzeczność między wywodami rozumu ludzkiego a dogmatami objawienia boskiego. Bóg ma być wszechwiedzący, wszechmocny i nieskończenie dobry. Lecz gdzie jest dobroć Boga, pyta Bayle, jeżeli przewidział istnienie zła w świecie, które nie mogło zaistnieć bez Jego woli? A jeśli nie przewidział zła, to gdzie jest jego wszechwiedza? A jeśli nie chciał go, to gdzie jest Jego wszechmoc? — Jeżeli wreszcie Bóg chciał zła w świecie i stworzył człowieka dostępnym grzechowi, to kto jest temu winien Za co człowiek miałby być karany? Gdzie jest sprawiedliwość Boga? — Człowiek myślący, uprawiający religię naszpikowaną sprzecznościami jest głupcem, albo obłudnikiem, oświadcza Bayle. Lepsza już niewiara niż zabobon. Religia zresztą nie jest niezbędna do utrzymania wysokiego poziomu etycznego. Ateista może stać o wiele wyżej od względem moralnym niż człowiek religijny. Na dowód tego twierdzenia Bayle wskazuje na wysoką etykę Epikura, Lukrecjusza, Pliniusza, Diagorasa, Vaniniego, Spinozy, (częściowo myląc, jak to się często zdarza, ateistów z panteistami).

Zorganizowany atak na religię przypuszczają materialiści Wieku Oświecenia: „Nienawidzę, — pisał Diderot, — wszystkich pomazańców bożych, jakkolwiek by się nazywali... i nie potrzeba nam ani księży, ani bogów". Interes ludzi, oświadcza Holbach, wymaga najgruntowniejszego zniszczenia właśnie omamień religijnych i... zdrowa filozofia powinna poświęcić się przede wszystkim ich unicestwieniu". „W imię Boga — nieskończenie miłosiernego — popełnia się najokrutniejsze zbrodnie. Mówią, że Bóg jest wszechwiedzący, ale jak z Jego wszechwiedzą godzi się wystawianie ludzi na próbę? Bo przecież Bóg powinien wiedzieć, czy człowiek da się skusić!

Przytaczając jeszcze argumenty zaczerpnięte od Bayle'a, Holbach konkluduje: — „Jeśli chcemy być sumienni, powinniśmy uznać, że owa Istota jest absolutnym zerem i że majak usnuty dla wytłumaczenia przyrody jest w stałej sprzeczności z przyrodą".

Materialiści Wieku Oświecenia zastanawiają się nad pochodzeniem religii. — „Ignorancja, strach, klęski były zawsze źródłem pierwszych wyobrażeń ludzi o bóstwie", pisze Holbach"... Skuty przerażeniem człowiek zaczyna smutno rozmyślać o swych cierpieniach i drżąc szuka sposobów pozbycia się ich, zniszczenia gniewu prześladującego go Widma. Tak oto w warsztacie smutku nieszczęsny człowiek tworzy majak, z którego czyni sobie Boga". „W rzeczywistości zaś uprawiać kult Boga znaczy uprawiać kult wytworu własnego mózgu".

W wieku XIX Feuerbach ujął tę myśl z właściwym sobie dowcipnym lakonizmem: „Nie Bóg stworzył człowieka, lecz człowiek Boga". Na miejsce teologii (nauki o Bogu) należy postawić „antropologię" (naukę o człowieku)*). Religia jest „snem życzeniowym" człowieka, twierdzi Feuerbach, wyprzedzając w tym twierdzeniu badania psychoanalityczne freudyzmu. „Bóg jest tylko „Wielkim odbiciem człowieka". „Poznanie Boga jest samopoznaniem człowieka".

Feuerbach wywarł potężny wpływ na doktryny Marxa i Engelsa.

Ci materialiści dialektyczni (wraz z wybitnym ich uczniem Leninem, który szczególnie zaciekle zwalczał „fideizm"), uzupełniając serię argumentów ateistycznych, przypisują główną rolę przy powstaniu religii czynnikom ekonomicznym, a samą religię rozpatrują jako „opium", jako oszustwo, zorganizowane przez klasę posiadającą, służące za narzędzie ucisku politycznego i eksploatacji ekonomicznej ubogich mas pracujących.

Tak przedstawia się w najogólniejszym zarysie rozwój poglądu materialistycznego w dziedzinie religii.

Cóż się dzieje po drugiej stronie barykady?

Materializmowi w dziedzinie religijnej przeciwstawiają się — analogicznie do tego, co widzieliśmy w innych dziedzinach: w życiu i w etyce*) — idealizm. Ateizmowi przeciwstawia się — teizm.

Można rozróżnić trzy zasadnicze formy teizmu.

BYKI MALUJĄCE BOGA

Teizm pierwotny względnie antropomorficzny występuje na arenę myśli ludzkiej już w zamierzchłych czasach przedhistorycznych. Antropologia i prehistoria podają, że już Homo neandertalis, przodek człowieka z trzeciej epoki miedzylodowcowej (ok. 200.000 lat przed naszą erą) uduchawiał jakoś otoczenie i uprawiał kult religijny o specyficznym rytuale, o czym świadczą magicznie „obrobione" liczne czaszki ludzkie, znajdujące się w jaskiniach neandertalczyków oraz zwyczaj ich grzebania zmarłych wraz z ich „bronią". „Bogowie" przedstawiali się pierwotnemu człowiekowi pod różnymi postaciami: zjawisk i procesów przyrody (grzmotu, deszczu, wiatru...) części przyrody (rzek, gór, gwiazd...), istot żywych (drzew, zwierząt, ludzi). — Bogowie Greków starożytnych kochali się, kłócili, zazdrościli i nienawidzili jak ludzie. Ale już Ksenofanes w VI w. przed naszą erą piętnował antropomorfizm religii helleńskiej: „Śmiertelni myślą, że bogowie rodzą się, noszą szaty, mają głos i postać cielesną jak oni". Wszyscy ludzie stwarzają bogów na podobieństwo siebie samych: „Etiopowie mówią, że ich bogowie mają szerokie nosy i są czarni; Trakowie zaś mówią, że bogowie są rudzi i mają oczy niebieskie". „Ale gdyby byki, konie i lwy miały ręce i umiały nimi malować... jak ludzie, to konie przedstawiałyby bogów podobnych do koni, a byki — podobnych do byków..."

Pomimo tak dosadnej krytyki, pogłębionej i rozszerzonej w okresach późniejszych, teizm antropomorficzny przetrwał aż do naszych czasów w postaci religij kościelnych wielu wyznań: judaizmu, chrystianizmu, mahometanizmu itd..., przybierając formę monoteizmu (kultu jednego Boga o cechach — fizycznych lub duchowych — człowieka wyidealizowanego). Bóg żydowski gniewa się i karze i „kocha miłością zazdrosną". W Starym Testamencie znajdujemy taki passus: „Bóg mówi Aronowi i Marii o Mojżeszu: „Mówię do niego usta w usta i on mnie widzi rzeczywiście, nie mgliście ani w wyobraźni" (Numeri XII,8). — Bóg chrześcijański „chce, widzi i przebacza", wciela się w Syna Człowieczego, który po powrocie do nieba zasiada po prawicy Ojca swego na tronie chwały", „sądzi", „nagradza" i „karze"... (Mat. VI,4,14,21,XXV,31-46; Mar. XVI, 19). Bóg mahometański jest „żywy, potężny i bezsenny". Wola jego„ podtrzymuje niebo i ziemię, a jednak nie męczy Go to". Jest „wielki i wzniosły" (Święty „wiersz tronowy" Koranu). Jest gospodarzem rajskich ogrodów i opiekunem hurysek. Allah nie znosi konkurencji innych bogów: „la ilàha illà'llàhu" — „nie ma Boga oprócz Allaha", a Mahomet jest jego prorokiem. — Zresztą tępienie konkurentów jest naczelnym żądaniem każdego władcy niebiańskiego w religiach monoteistycznych: „Nie będziesz miał cudzych bogów przede mną" (Exod. XX,3) lub jeszcze dobitniej: „Nie pokłonisz się żadnemu innemu bogu, albowiem Wieczysty nazywa się Bogiem Zazdrosnym" (Exod. XXXIV, 14).

Z wielkich religij jedynie buddyzm — i to tylko w pierwotnej, czystej postaci, (która później została mocno zwulgaryzowana) nie posiada charakteru antropomorficznego.

ŚWIĘTY ROZCZYN

Panteizm porzuca antropomorficzny stosunek do Boga, rozpatrując Go jako nieosobową siłę, przenikającą świat. Widzieliśmy, że niektóre systemy panteistyczne brane były za wyraz poglądów materialistycznych*) — niesłusznie. Wiara w uduchowienie świata i jego doskonałość niewątpliwie należy do poglądów idealistycznych.

Już w starożytnych Vedach hinduskich (na półtora tysiąca lat przed naszą erą) spotkamy akcenty panteistyczne (zwłaszcza w Atharvavedzie, później — w Chandogya Upanishadzie). W filozofii europejskiej pierwszymi wybitnymi panteistami są eleaci (ich Mistrzem jest właśnie ten Ksenofanes, który z tak mocną i obrazową krytyką wystąpił przeciwko antropomorfizmowi religijnemu). W okresie hellenistycznym pogląd panteistyczny głoszą i rozwijają stoicy. Świat posiada naturę boską, jest wieczny i nieskończony, żywy i rozumny, zorganizowany celowo i harmonijnie, doskonały we wszystkich swoich przejawach, rozpatrywanych z punktu widzenia całości.

W średniowieczu przybiera panteizm racjonalistyczne zabarwienie u Dawida z Dinant i mistyczne u Mistrza Eckharta. Ten ostatni podkreśla, że nie ma Boga osobowego „przed" początkiem świata, że rozwój świata jest jednocześnie samorzutnym rozwojem „Bóstwa", które poznajemy we własnej duszy dzięki „scintilla" — „iskierce", istniejącej w nas i będącej indywidualnym przejawem procesu poznawczego wszechobecnego, rozlanego w przyrodzie i z nią tożsamego Boga. Panteizm mistyczny znajduje swego wielkiego przedstawiciela w okresie Odrodzenia. Jest nim Jakób Böhme, szewc z zawodu, nazywający świat „ciałem Boga", a Boga „sercem świata". Miłość i gniew boski nie są niczym innym jak dobrem i złem, panującym w przyrodzie, a niebo i piekło nie są w „zaświatach", lecz w duszy każdego z nas.

Okres Odrodzenia daje jeszcze jedną postać panteisty, przesłaniającą wielkością i tragizmem losów wszystkie inne. Jest to Giordano Bruno, spalony żywcem na stosie za swe „heretyckie" poglądy. Bóstwo jest nieskończonym, pełnym dynamizmu wszechświatem, ściślej mówiąc jest jego duszą, przesycającą go w najmniejszej choćby jego cząsteczce i powodującą najwyższą harmonię i celowość całości, jej nieskończone piękno.

W czasach nowożytnych powstaje klasyczny panteizm psychofizyczny Spinozy, przedstawiający „Bóstwo czyli Przyrodę" („Deus sive Natura") jako jedyną substancję o nieskończoności atrybutów, z których dwa są nam znane: rozciągłość i myślenie. Natura i duch nie są zatem czymś różnym od siebie, lecz tylko dwiema stronami tej samej rzeczy, którą jest świat czyli Bóg. Bóg nie jest zewnętrzną siłą wobec zja-

(Dokończenie na str. 4-ej)

*) Por. „Zdrój" nr.nr. 11 (Postawy życiowe) i 13 (Stanowiska w etyce).

*) Podobnie myśli też Comte.

*) Por. nr.nr. 11, 13 „Zdroju".

*) Schopenhauer na przykład nazywa panteizm z właściwym sobie ironicznym dowcipem — „grzecznym ateizmem".

MATERIALIZM A IDEALIZM

(Dokończenie ze str. 3-ej).

wisk przyrody, lecz ich „wewnętrzną przyczyną", tak że wszelkie wyjaśnienie powstania ruchu w przyrodzie nie może wybiec poza nią: nie ma „nadnaturalnych" zjawisk, wszelkie badanie musi być naturalistyczne.

Panteizm Spinozy odnawia w wieku XVIII Goethe. Duch i materia są jednym i tym samym, wszelkie ciało jest uduchowione i wszelka dusza posiada formy cielesne. Przyroda jest „żywą szatą Bóstwa", które czynne jest tylko w przyrodzie, gdyż poza przyrodę wyjść nie może nawet Bóg. Bóg nie działa zatem na przyrodę „od zewnątrz", cóżby to był za Bóg, który by pchał od zewnątrz rzeczy?" Nie, On porusza je najszlachetniej: „od wewnątrz". — W wieku XIX kontynuują panteizm Schelling, Schleiermacher i Fechner. Na przełomie XIX i XX wieku pogląd panteistyczno-przyrodniczy rozwija Haeckel.

Panteizm wynika zasadniczo ze źródeł emocjonalnych, nawet wtedy, gdy, jak u Spinozy, przybiera zabarwienie racjonalistyczne, lub jak u Haeckla — materialistyczne. Przepojenie świata pierwiastkiem boskim odpowiada potrzebie uczuciowej człowieka poszukiwania najściślejszego kontaktu z przyrodą i bezpośredniej, pewnej opieki w najbliższym otoczeniu. Ale przyjęcie Boga immanentnego świata odprowadza od czysto przyczynowego ujęcia przebiegów przyrody i nie chroni od uznania zdarzeń „cudownych".

EKSMISJA STWÓRCY.

Te względy nakazują idealistom o postawie racjonalistycznej i tendencji naturalistycznej zająć stanowisko deizmu. Wspominałem już o Wolterze jako deiście i pokrótce scharakteryzowałem ten pogląd. Deizm, którego pierwociny już w licznych systemach starożytnych (np. u Anaksagorasa i Arystotelesa) przeżywa rozkwit w tym samym wieku Oświecenia, w którym tak wybitnie rozwija się i ateizm. Twórcą angielskiego deizmu jest Herbert z Cherbury. Religiom ujętym w rytuał z ich zabobonami i oszukańczymi machinacjami kapłanów przeciwstawia on „religię naturalną", wypływającą bezpośrednio z „instinctus naturalis". Instynkt ten — wspólny wszystkim ludziom — świadczy, że istnieje Istota Najwyższa i że czynienie dobra jest najistotniejszym składnikiem kultu dla tej Istoty.

Deistyczną koncepcję z pochyleniem ku panteizmowi kontynuuje John Toland, poddając krytyce zabobony religijne, za co dzieło jego zostaje spalone ręką kata, przy czym on sam ledwie unika śmierci. Tindal, Collins, Belingbroke w Anglii, Reimarus i Lessing w Niemczech, Rousseau, a zwłaszcza jak już wiemy Voltaire we Francji prowadzili ostrą kampanię przeciwko „magicznemu" poglądowi religii kościelnej, według którego objawienia obdarzają człowieka bezwzględną prawdą, a cuda świadczą o nieustannej opiece Boga nad światem.

Odrzucając te „filary wiary kościelnej" (tj. objawienie i cuda) i odwołując się do rozumu, jako najwyższego kryterium prawdy, deiści widzą jednak konieczność przyjęcia istnienia Boga jako twórcy harmonii i celowości w przyrodzie i jako ogniska, w którym skupiają się wszystkie nasze najwznioślejse pragnienia (Rousseau).

WALKA WIATRAKÓW.

Przyjrzeliśmy się dwu biegunowym stanowiskom w dziedzinie zagadnień religijnych: materializmowi i idealizmowi. Łatwo jednak zauważyć, że te „bieguny" nie wykluczają się z całą ostrością — przynajmniej w faktycznej treści światopoglądowej wielu przedstawicieli obu wymienionych kierunków.

Epikur sprowadza bogów do ugrupowania subtelnych atomów, ale nie neguje całkowicie ich istnienia. Diderot w „Myślach filozoficznych" uznaje istnienie Wyższego Umysłu, nadającego prawa przyrodzie. Comte unaje wartość uczuć religijnych, ale uważa, że należy je skierować nie ku bóstwu, lecz ku ubóstwionej Ludzkości.

Z drugiej strony już stanowisko panteistyczne wiąże się z surową krytyką prymitywnego antropomorfizmu religijnego, a nawet — jak u Haeckla — przybiera wyraźną postać materializmu, gdy chodzi o interpretację przyrody.

Jeszcze dalszy od ortodoksyjnego teizmu jest deizm, odrzucający całą mistykę, na której spoczywa na ogół religia i obnażający skalpelem rozumu wewnętrznie sprzeczną tkankę dogmatów religijnych. W racjonaliźmie deistycznym tkwi duża domieszka sceptycyzmu: oparcie światopoglądu religijnego na rozumie, a nie na objawieniu, wprowadza wątpliwości tam, gdzie obowiązywała dotychczas ślepa wiara. Jeszcze krok — i wątpliwa staje się cała tradycyjna problematyka religijna. Zbliżamy się do stanowiska filozoficznego, krytycznego i pragmatycznego — w zasadzie nieróżnego od wolteriańskiego, wyrażonego w przytoczonym jego aforyźmie: „Gdyby Bóg nie istniał, trzeba byłoby Go wymyślić".

Jest to stanowsko wyprzedzające o półtora wieku stanowisko Williama Jamesa. jednego ze współtwórców głośnego pragmatyzmu. Prawda nie jest czymś gotowym, niezależnym od naszych celów praktycznych. Prawda jest tym, co dla nas jest najbardziej wartościowe, co jest nam najbardziej potrzebne w danych warunkach do działania. Otóż tylko w tym znaczeniu pragmatyzm („pragma" — „czyn", „działanie") można mówić o „prawdziwości" wierzeń religijnych. Są one potrzebne pewnemu typowi ludzi po to, by mogli w sposób bardziej sensowny i pełny ułożyć sobie życie: by czuli opiekę nad sobą w chwilach niedoli i wyższą celowość własnych działań, dla których nie potrafią znaleźć dość wysokiego celu w obrębie osobistego życia. — Co zaś odpowiada w sposób „bezwzględny" wierzeniom religijnym, jaki jest odpowiedni „Byt w sobie", — pytanie to jest nonsensem, innymi słowy „zagadnieniem pozornym" z punktu widzenia pozytywnej teorii poznania, jak zagadnieniem pozornym jest pytanie o „Prawdę Bezwzględną" niezależną od ludzkiego poznania i ludzkiego działania. Dlatego musimy odrzucić jako stanowiska metafizyczne zarówno idealizm w dziedzinie religii, jak i materializm: pierwszy oświadcza o Bycie Bezwzględnym (Bogu), że istnieje; drugi, nie widząc pozorności zagadnienia, podaje „dowody" przeciwko istnieniu Boga. Ale zarówno „tak" jak i „nie" na temat „Bytu w sobie" jest nonsensem. Tego zdają się nie widzieć ani teiści, ani ateiści. Żeby zagadnienie upozytywnić należy przenieść ośrodek zainteresowania z przedmiotu religii na jej przeżycie. Nie można nie uznać wartości doznań religijnych — tak, jak nie można odmówić wartości doznaniom estetycznym. Przeżycia religijne wzbogacają życie uczuciowe jednostki i pozwalają na stworzenie obszernej dziedziny kultury, graniczącej z poezją i metafizyką, a tym samym przyczyniają się do realizacji większej pełni życia.

Ale jak metafizyka, jak poezja — religia, powstała z najgłębszych źródeł uczuciowych psychiki ludzkiej, nie może pretendować do wygłaszania prawd obiektywnych i powszechnie obowiązujących o Bogu, o dziejach duszy, o sensie życia.

Obiektywne stwierdzenie faktów lub wysnuwanie wniosków należy — odpowiednio — do zmysłów i do rozumu. Dlatego nauka tego typu co fizyka może stwierdzać fakty. Białe światło słoneczne rozczepia się na „siedem" barw tęczy — to stwierdza fizyk głównie na podstawie zmysłów. Atom zbudowany jest z jądra i z pierścieni elektronów — to stwierdza fizyk na podstawie rozumowania, wysnuwającego wnioski z danych zmysłowych.

Fizyka nie może w obiektywnych stwierdzeniach swych posługiwać się uczuciem. Uczucie jest czynnikiem wysoce subiektywnym i tak jak fizyka musi abstrahować od niego, ustalając fakty świata realnego, tak musi zrezygnować z sugestyj uczucia filozofia naukowa (teoria poznania), ograniczając wartość doznań religijnych do sfery wyłącznie subiektywnej i w tej sferze wyczerpując wszelki sens religii jako dziedziny kulturalnej.

Widzimy, że zarówno materializm w dziedzinie religii (tj. ateizm) jak i idealizm w tej dziedzinie (tj. teizm) zbyt krańcowo ujmują kwestię religii. Przeżycia religijne nie są ani nonsensem, jak twierdzą materialiści, ani objawieniem jak chcą idealiści. Prawda, jak zwykle, leży pośrodku. Wraz z idealistami należy uznać wysoką wartość przeżyć religijnych, lecz wraz z materialistami należy uznać ich „nieobiektywność", nie są one w stanie nic ustalić w „rzeczywistości" i są nieobowiązujące dla żadnej innej jednostki poza przeżywającą.

Musimy zatem uznać walkę materialistów z idealistami w sprawie religii za chybioną obustronnie. Nie ma powodów do zwalczania uczuć religijnych, jeżeli się uzna ich wartość zakreśloną granicami podmiotu. Trzeba tylko starać się rozwijać obok sfery uczucia, wyżywającego się w sztuce, metafizyce, religii, — sferę rozumu, umiejącego krytycznie ustalać obiektywność i pewność zdobywanej wiedzy. Krytycyzm uchronić powinien przed lękiem wynikłym z pesymistycznej wiary lub przed fanatyzmem i nietolerancją — wynikłymi z absolutyzmu wiary.

Z drugiej strony warto uprzytomnić sobie, że zwalczanie ateizmu w imię religii jest o tyle spokrewnione z postawą Don Kichota wobec wiatraków, że każdy pogląd ateistyczny jest swoistym systemem wiary — mniejsza o to, czy przedmiotem jej będzie „atom" Demokryta, „materia przepojona siłą" Büchnera, „ewolucja mechanistyczna" Darwina i Spencera czy wreszcie „rozwój dialektyczny przyrody" marksistów.

Nie tylko w każdym systemie teistycznym, lecz i w każdym systemie ateistycznym zawiera się, jak wskazywałem, spora doza metafizyki. „Boga nie ma" jest tezą równie metafizyczną jak teza przeciwna „Bóg jest". Nie tylko w drugim lecz i w pierwszym zdaniu orzeka się stan „bytu w sobie". Widzimy, że walka materializmu z idealizmem w dziedzinie religii spoczywa na nieporozumieniu: tu i tam wierzy się bezkrytycznie w pewien absolutny niesprawdzalny stan rzeczy.

Zastosowanie wobec zagadnienia religii większej dozy krytycyzmu skierowanego zarówno do stanowiska idealistycznego, jak i do stanowiska materialistycznego w tej kwestii — zlikwidowałoby i w tej dziedzinie bezprzedmiotową walkę między dwoma obozami.

Narcyz Łubnicki.

JOANNA MODRZEJEWSKA

Pieczęć spra

Duży kalendarz na biurku kierownika miał swoistą i pocieszającą wymowę. Nastrzępione pozostałości zerwanych kartek to ślady tych wszystkich dni; które się przetrwało, ślady dni częstokroć pełnych grozy i zwątpienia, które jednak przeminęły. A zwarty bloczek kartek niezerwanych krył w sobie niewątpliwie jeden dzień, który nie czerwienił się jeszcze świąteczną barwą, a będzie jednak Wielkim Świętem.

Trzeba tylko dużo, dużo cierpliwości, by przebrnąć nużące i pełne niepewności długie godziny biurowe i doczekać chwili, gdy z westchnieniem ulgi i nadziei będzie można zerwać jeszcze jedną kartkę kalendarza.

Poranne słońce przesuwając jasną, pieszczotliwą dłoń po chropowatych, szarych ścianach i twardych meblach biurowych wskazało nagle promiennym palcem datę: 11 maj 1944.

Maszyna stukała już nierównym rytmem nazwy niemieckich instytucji pod ciągle niemogącymi nawyknąć do obcego układu liter palcami polskiej maszynistki.

Na biurkach stosy teczek i skoroszytów.

Ale ręce urzędników nie garnęły się do pracy.

Przyciszony szmer rozmów nieustannie niemal wypełniał pokój.

— No przecież teraz to już naprawdę z nimi koniec — wybił się czyjś głos nieustępliwym tonem wyroku i przygasł zatrwożony własnym doniosłym brzmieniem.

Maszyna przestała stukać.

— Tak bez wątpienia — westchnęła maszynistka — ale im się człowiek czuje bliższy upragnionego kresu po długich oczekiwaniach, tym goręcej się niecierpliwi.

— Ma pani rację — poparła ją z nad wielkich liczydeł buchalterka — doprawdy wydaje mi się teraz, że każdą godzinę, każdą minutę pcham z wielkim wysiłkiem własnymi rękami, by się prędzej przetoczyła. Ale to jest syzyfowa praca — na ich miejsce przychodzą nowe i nowe, które nic nie przynoszą.

Parę głosów przerwało z gorącym protestem.

— Ależ nie można mówić, że nic. Przecież w zestawieniu z czterema latami tej beznadziejności i stagnacji, jeśli chodzi o wypadki bezpośrednio nas dotyczące — mamy teraz szereg konkretnych faktów, świadczących, że dzieje się wiele.

— Tak, tak — kontynuował ktoś skwapliwie — front jest już przecież na linii Bugu. Sowieci zajęli Łuck i Kowel.

— Według moich obliczeń nie będzie w Lublinie za miesiąc śladu po Niemcach.

— A jacy są niepewni siebie po tej ostatniej, przez nas zarządzonej ewakuacji.

Wspomnienie tego odważnego rozplakatowania afiszów ewakuacyjnych przez organizację rozjaśniło twarze i podnieciło atmosferę entuzjazmu.

— Wyobraźcie sobie państwo, że w czasie ostatniego alarmu, Niemiec, który ma u nas zarekwirowany pokój, pytał się w piwnicy, czy nikt z lokatorów niema do niego pretensji i czy w razie czego stwierdzimy, że dobrze ustosunkowywał się do Poaków.

— Sądzę nawet, że teraz nie chcąc się już narażać nie będą stosowali represyj... — wtrącił ktoś pocieszająco i umilkł, bo drzwi skrzypnęły i zazwyczaj nader flegmatyczny stary woźny wpadł do pokoju z alarmującym okrzykiem: „Niemcy idą do nas, jacyś umundurowani!" — i z niespotykaną u niego żywością pobiegł do dalszych pokoi.

Zapanowała pełna napięcia cisza, wśród której niefrasobliwe bzykanie o szybę zbłąkanej, majowej muchy urastało do złowrogiego warkotu werbla.

Nagle wszyscy rzucili się gorączkowo do swych biurek, zaszeleściły papiery, zazgrzytały szuflady. Pobladły referent drżącymi rękami darł nad koszem w drobniutkie strzępki, cienką, gęsto zapisaną bibułkę. Maszynistka podbiegła do siwowłosej, starszej urzędniczki i szybkim ruchem, zdjąwszy medalik i zegarek wcisnęła błagalnym gestem w jej dłoń.

— Odda pani w razie czego mamie — zdążyła jeszcze wyszeptać i już w sąsiednim pokoju zatupotały ciężkie buty. Głośne „Heil Hitler" jak świst pejsza przecięło powietrze.

Potem docierały już tylko chropowate rozkazujące słowa, których mimo rozpaczliwych wysiłków myśli nie można było przeniknąć.

PAWEŁ GDULA

Z MŁODOŚCI ANDRZEJA STRUGA

Krytyczna i biograficzna wiedza o znakomitym pisarzu jest tak zaniedbana, że fakt ten aż zastanawia. Poza artykułami i wzmiankami przygodnymi w czasopismach literackich i codziennych wymienić można zaledwie trzy większe artykuły o jego życiu i pracy autorskiej. (Znamienne, że Korbut w IV tomie swojej „Literatury" nie znajduje dla jego nazwiska i stanowiska pisarskiego miejsca w tej grubej księdze, jakkolwiek skromniejsze o wiele postaci twórcze rozkładają się na kilku stronicach). Studium Z. Dębickiego w „Portretach" z tych trzech jest najpoważniejsze, bo „ z pierwszej ręki" jakoby; Strug pracował sporadycznie w „Tygodniku Ilustrowanym" za czasów redakcji Dębickiego. Artykuł Feldmana w „Współczesnej literaturze polskiej" oddaje mu sprawiedliwość, ale krzywdząca notatka Kołaczkowskiego w ostatnim wydaniu „Współczesnej literatury", osądzająca pretensjonalnie a bez zrozumienia istoty rzeczy ostatnie książki wielkiego autora — psuje i krzywi rzut myśli Feldmana. Obszernie i rzetelnie omówił życie i twórczość Struga w „Obrazie współczesnej literatury" K. Czachowski, posługując się zresztą w zarysie biograficznym — Dębickim.

Skąpe te wiadomości o życiu tak bogatym w przygody, walki, o życiu zdumiewającym nieugiętością przekonań, prześwietlonym wysoką, prawdziwie ludzką moralnością — ograniczone w artykułach historyczno-literackich do prostego wyliczenia ważniejszych faktów — ubarwił sam Strug w wielkiej epopei swoich powieści. W niejednej z nich odnajdziemy go w autentycznych epizodach czyto jako swawolnego często rozmarzonego ucznia gimnazjum lubelskiego, czy płomiennego rewolucjonistę, czy dalej przystrojonego w szary mundur żołnierza polskiego.*).

Do czasu zdobycia świadectwa dojrzałości, tj. do r. 1893 Lublin był ośrodkiem życia Tadeusza Gałeckiego. Dla lublinianina sprawą łatwą a równocześnie miłą jest odgadywanie i odnajdywanie miejsc i osób, jakie uwieczniił Strug w scenach pełnych życia i humoru. Zwłaszcza gdy to i owo wyjaśnią i dorzucą jego koledzy gimnazjalni — w opowiadaniu lub artykule.

Jakże wyglądało to młode życie?

Najpierw — kilka zasadniczych sprostowań związanych z datą i miejscem urodzenia Tadeusza Gałeckiego. Prawdopodobnie pierwszy Feldman podał rok urodzenia 1873, a Dębicki miejsce urodzenia: Konstantynówka; za nimi poszli inni. Dane te są błędne. Księgi metrykalne lubelskiej parafii katedralnej stwierdzają, że Tadeusz Gałecki, syn Władysława i Pauliny z Miklaszewskich, urodził się 28 listopada r. 1871 w Lublinie. A więc nie w roku 1873 i nie w Konstantynówce, bo Konstantynówka w tych latach należała jeszcze do kogo innego. Od p. Wojciecha Jakubowskiego kupił ją p. Władysław Gałecki dopiero w czerwcu roku 1880 — a więc blisko 9 lat po urodzeniu się Tadeusza. Tak mówią księgi hipoteczne Konstantynowa; taka jest bowiem prawna nazwa folwarczku, który po obkrojeniu parcelacją (zostało 180 morgów) zwano popularnie Konstantynówką.*).

Tadeusz Gałecki ujrzał więc światło Boże przy ulicy Królewskiej w Lublinie i pierwsze jego spojrzenie padło nie na stare drzewa parku dworskiego w Konstantynówce, lecz na szare i brudne mury przeciwległych kamienic. Bo w tym czasie ojciec jego p. Władysław Gałecki był zamożnym kupcem i posiadaczem wielkiego sklepu kolonialnego przy wspomnianej właśnie ulicy. Tadeusz był synem aktualnie kupieckim ale i szlacheckim, co potwierdzają księgi rodów szlacheckich skrupulatnie prowadzone przez władze rosyjskie.**).

Bywało tak często, że zrujnowane ziemiaństwo przenosiło się do miasta, robiło pieniądze w handlu i dawało znowu folgę swoim zamiłowaniom, kupując większe lub mniejsze kawały ziemi. Takim upodobaniom widać hołdował i ojciec sławnego pisarza; kiedy interesy poszły dobrze i nadarzyła się doskonała sposobność, nabył piękny folwarczek, odległy zaledwie jakieś 4 km od Lublina, rzucił kupiectwo, przeniósł się tam i rychło całkiem zapomniał o swoim dorywczym kupieckim zawodzie. A przywiązał się do ziemi tak całkowicie, że syna swego jedynaka (pp. Gałeccy mieli jeszcze tylko córkę) wysłał na studia agronomiczne do Puław (wszystko było w pobliżu!), kiedy ten przedarł się wreszcie przez ciężkie i niemiłe w rządowej szkole rosyjskiej studia gimnazjalne.

Bo też srogie to były w szkolnictwie rządy rozmaitych większych Apuchtinów, co na miejscu w rządowym gimnazjum lubelskim skonkretyzowało się w osobie osławionego dyrektora Syngalewicza i jego narzędzi w rodzaju pedela Znczenki. „O tem, co było kiedyś w tej pierwszej, ślicznej młodzieńczości" — pisze sam Strug raczej pogodnie niż zgryźliwie w powieściach: Dzieje jednego pocisku; Pokolenie Marka Świdy. Odtwarza te chwile także prof. Adam Szelągowski w artykule „Ze wspomnień szkolnych". Niewiele zresztą, albo nawet wcale nie różnią się ich lata szkolne od tych historii, które przeżywał Marcinek Borowicz z niezapomnianych „Syzyfowych prac".

Atmosfera Konstantynówki, oddalonej o jakieś 5 kilometrów od szkoły na placu Wizytkowskim w Lublinie, niebardzo sprzyjała nauce, skoro ojciec decyduje się oddać Tadeusza na stancję p. Habinakowej, gdzie mieszkała co zamożniejsza młodzież z okolic Lublina.

Jakoś w piątej klasie gimnazjum nastały te przełomy i kataklizmy życiowe, o których opowiadają obaj koledzy: a więc pierwsza „niepojęta, nadludzka, nieszczęśliwa miłość" do Anuli „o boskich urokach". A że nieszczęścia lubią chodzić w parze, nic dziwnego, że do nieukojonych tęsknot miłosnych przyłączyło się jeszcze pozostawienie na drugi rok w klasie piątej. Wtedy już zostało jedno tylko: „zakończyć tragicznie tragiczne życie" i utopić się w tej „pokrętnej" rzece Bystrzycy. Ale na szczęście — w międzyczasie odsłoniły się nowe światy, zamknięte w małym zeszyciku „zapisanym bladoniebieskimi literami hektografu", światy „niesłychane i wielkie", o których nic jeszcze nie wiedział rozkochany piątoklasista. Płomień młodzieńczych dążeń przechylił się w inną stronę, rozentuzjazmowany chłopiec stał się socjalistą.

Nastroje te, „górne" chwile swoje i swego kolegi Tadeusza Gałeckiego tak przedstawia Adam Szelągowski w „Robotniku" z grudnia r. 1937, poświęconym A. Strugowi:

„Pierwsze tajemnicze pytania, które nas zetknęły z całym światem niewiadomym, od którego chcieli nas odgrodzić wszyscy — swoi z troski o naszą przyszłość, obcy, — z nienawiści do nas wszystkich razem i do każdego z osobna — było: czym jesteś — biały czy czerwony? Oto była jedyna nitka między nami a rokiem 1863. A resztą było wszystkie niewiadome i działo się jakby samo przez się czy samo z siebie wychodziło."

„Dlaczego ci chłopcy przychodzili do siebie i zbierali się razem, aby czytać rzeczy polskie i niepolskie zakazane; — naprzód było ich pięciu w jednej klasie szóstej, powoli rozciągało się to na inne klasy, naprzód niższe — piątą, a w miarę przechodzenia na wyższe, coraz to inne tak, że po dwóch latach rozciągało się na całe gimnazjum. A następnie dowiadywali się, że podobne kółka istnieją także i w innych gimnazjach. Powoli powstała chęć zapoznania się i z tamtymi kolegami. Aż wreszcie najpóźniej przyszła chęć sięgnięcia jeszcze wyżej — do samej Warszawy. Tam kierowały się oczy jak do światła, przywykłe stamtąd odbierać wskazówki i natchnienia...".

„Powoli zaczęły się tworzyć kółka pozagimnazjalne: byli w nich i rzemieślnicy i półinteligenci — często dawni koledzy tak zwani wypędki i rozbitki gimnazjalni. Ale niedługo, bo znalazł się zaraz i jeden zdrajca— na szczęście indywiduum kryminalne, stojące poza organizacją, a donosem swoim starające się ratować swą skórę. Poszły już i pierwsze ofiary życia młodzieńczego... Poczuliśmy pierwszy raz, że jesteśmy pilnowani nie tylko przez naszych szpiclów gimnazjalnych, ale że i za nami kręcą się już „fijoły". Wpadliśmy bądź co bądź w oko nie byle komu, lecz przyszłemu mistrzowi carskiej ochrany, który u nas zaczynał swą świetną karierę, Uthoffow. Miał długą i dobrą pamięć, bo powybierał już po skończeniu gimnazjum prawie nas wszystkich, a i Strug zapewne w swej wędrówce do guberni archangielskiej wiele mu zawdzięczał..."

Lecz te zapały, porywy i swoiste tragedie były wiadome tylko najbliższym, najbardziej zaufanym rówieśni-

(Dokończenie na str. 7-mej).

*) Szczegóły autobiograficzne, które wprowadza Strug do niektórych powieści, podaje autor tego artykułu w rozprawie pt. „Lublin w literaturze współczesnej", drukowanej w „Pamiętniku Lubelskim" Towarzystwa Przyjaciół Nauk z r. 1937 i w odbitce.

*) Skąd się wzięła ta zmieniona data narodzin Tadeusza Gałeckiego i dlaczego się nią później Strug w niektórych swoich dokumentach posługiwał — trudno dociec, ale łatwiej się domyślić. Tadeusz Gałecki zdobył świadectwo dojrzałości stosunkowo późno, mogły tu odegrać rolę także sprawy takie jak obowiązek służby w wojsku rosyjskim. Polacy — najczęściej uchylali się w ten czy inny sposób od tego narzuconego prawa. Dane metrykalne w tym czasie łatwo było zmienić, o nie zachodziła tego jakakolwiek potrzeba.

**) p. Archiwum lubelskie.

wiedliwości

Jaka kryje się w nich groźba, komu wieszczą nieszczęście? Cichy, kojący swoim brzmieniem głos naczelnika niknął na tle tamtych.

Krótkie, a wlokące się w nieskończoność minuty rozpaczliwego bilansu: „co przewiniłem", „o czym dowiedzieli się", „czy to po mnie?"

Kroki zbliżyły się i drzwi otwarto na rozcież.

U progu ukazała się wysoka postać gestapowca. Srebrne naramienniki i wyłogi kołnierza, nienagannie elegancki mundur. Z pod czarnego daszka czapki, ozdobionej trupią główką, chłodne, szydercze oczy objęły szybkim spojrzeniem tych paru ludzi maskujących trwogę spokojnym milczeniem.

I nagle z opuszczonych kącików ust gestapowca wypełz na wąskie wargi uśmieszek łaskawy i władczy. Przyzwalającym ruchem skinął ręką.

Naczelnik niezdecydowanie wysunął się ku przodowi, lecz towarzyszący dygnitarzowi barczysty gestapowiec odsunął go lekceważąco.

— „Herr Obersturmführer zwiedza zabytki Lublina" — objaśnił czystą, piękną polszczyzną, brzmiącą w jego ustach jak bluźnierstwo.

Niedosłyszalne westchnienie ulgi, w którym czaiła się jednak niepewność, wionęło przez pokój.

— Między innymi — kontynuował tłumacz rzeczowo i wzgardliwie — chciał obejrzeć ten stary budynek trybunału. Najbardziej ciekawi pana Obersturmführera tzw. „diabelska ręka". Ktoś z was opowie tę historię, a ja ją przetłumaczę — dorzucił rozkazująco.

Chwilę przykrej konsternacji przerwał naczelnik głosem łagodnym i jakby proszącym o przebaczenie: — „Proszę może pan opowie tę historię" — zwrócił się do referenta.

Ten cofnął się odruchowo, lecz porozumiewawcze spojrzenie naczelnika kazało mu skłonić głowę na znak zgody.

Obersturmfuehrer uznał wstęp za zakończony i niedbałym, lecz uprzejmym gestem wzniósł rękę: „Bitte, bitte schoen, kommen sie alle mit und hoeren sie zu". Herr obersturmfuehrer — głos tłumacza wrogi i rokazujący przy tych dwóch słowach zniżał się w kornym ukłonie — „mówi, że wszyscy macie iść i posłuchać".

Ruszyli przodem. Za nimi grupka Polaków, ciągle jeszcze oczekująca podstępu i niepewna.

Dopiero gdy w ostatniej sali wszyscy zgrupowali się wokół dużego masywnego stołu i zabrzmiały pierwsze słowa znanej każdemu Lublinianinowi starej legendy o niesprawiedliwie osądzonej biednej wdowie — zapanował dziwny spokój.

Tłumacz ze sceptycznym uśmiechem tłumaczył gładko i płynnie zdanie po zdaniu. Obersturmfuehrer słuchał z zaciekawieniem, lekko bębniąc palcami po szybce ochraniającej sławny odcisk diabelskiej ręki.

Opowieść zmierzała ku końcowi.

— I by przypieczętować sprawiedliwy wyrok diabeł wyrył na tym stole swą rozżarzoną dłoń — kończył monotonnie i jakby w głębokim zamyśleniu referent. Tłumacz powtórzył to niezmiennie sceptycznie uśmiechnięty. „Hoch interessant" — wycedził łaskawie dygnitarz i zwrócił się ku Polakowi. Ten ożywił się nagle, wyprostował i patrząc Niemcowi prosto w oczy dodał głosem jasnym i dobitnym: „Bo sprawiedliwości musi się zawsze stać zadość".

Tłumacz usłużnie skłonił się przełożonemu, lecz nagle żachnął się i gniewny skurcz zwarł mu wargi.

— Was sagt er noch? — zniecierpliwił się nie rozumiejący dygnitarz.

Nabrzmiała złowrogim milczeniem chwila zawisła ciężko nad salą.

I nagle rozdarł ją przeraźliwy, ogłuszający ryk syreny alarmowej.

Tłumacz skurczył się i zaczął chwiać bezwolnie jak drewniany pajac, któremu przecięto sznurki. Z twarzy dygnitarza opadła cienka łuska pełnego wyższości spokoju. Ze wściekłością pchnął tłumacza ku wyjściu. „Donner Wetter, verflucht noch mal" — zdławił przekleństwo — „schnell, schnell, zum Luftschutzraum".

Trzaśnięcie drzwiami huknęło jak nagły wystrzał wśród zapadłej po zamilknięciu syreny ciszy. Nikt nie poruszył się z miejsca. Naczelnik nakrył dłonią szybę ochronną, po której jeszcze przed chwilą bębniły palce gestapowca. Wzrokiem przenikliwie jasnym powiódł po zebranych. Głos jego zabrzmiał twardo i donośnie:

„Bo sprawiedliwości musi się zawsze stać zadość".

Ostatnie słowa rozpłynęły się w potężnym, zagłuszającym wszystko ponownym ryku syren.

— Za nisko — rzekł Jan sam do siebie rozczarowany i natychmiast potem wepchnął gniewnie nabój do lufy. Na kamienistym płaskowyżu, na środku drogi, unosiły się chmurki dymu i ostry świst kuli przeszył powietrze.

— Trzymaj, Janie! — gruchnął ktoś ordynarnym śmiechem z tamtej strony drogi.

— Poczekaj! — Jan błysnął białkami z wściekłości.

— Już ja ciebie dostanę na muszkę, bydlaku!

Pochyliwszy się tak nisko, że brodą dotykał kolan, zaczął się wdrapywać niezgrabnie, jak niedźwiedź, na górę porośniętą krzakami karłowatego jałowca; spod jego opanków wysuwały się kamyki i dudniąc staczały się wyżłobieniem w dół. Kiedy jednak Jan znalazł się na odległość ramienia przy czółenkowatym wierzchołku, poczuł silne uderzenie w lewą nogę, poniżej kolana, zachwiał się i upadł.

— Oj, Janie! Oho! ho! ho! — ryczał ze śmiechu tamten.

Jan zagryzł wargi z bólu i męki. Strzały z jednej i drugiej strony odzywały się rzadko i z wyrachowaniem.

O pierwszym zmroku ustaszowcy uciekli — tylko trzy kałuże krwi wskazywały miejsce, gdzie leżeli jak przykuci w ciągu dnia. Towarzysze znieśli Jana. Poprosił o wodę i tytoń. Położyli go ostrożnie na karabinach jakgdyby na noszach i ponieśli w milczeniu ścieżką wśród skał do najbliższej wioski, która przywitała ich niesamowitą ciszą i pogaszonymi światłami.

Obandażowali mu naprędce nogę ręcznikiem, ściągnęli ją mocno paskiem i w końcu położyli go w stodole Urosza Uzelca; przez cały ten czas Jan nie wydał jednego dźwięku. Rozstawili warty i pokładli się spać. Przez całą noc ranny, nie śpiąc, słuchał szczekania zaniepokojonego psa gospodarza chaty i wściekłego brzęku łańcucha, na którym pies był uwiązany; słyszał zmianę warty, głośne rozmowy i krzyki przez sen śpiących kolegów, podenerwowanych pierwszą strzelaniną.

Nazajutrz naschodziło się chłopów z wódką, pszennymi plackami i surową wędzoną szynką. Wypytywali:

— Boli cię, co?

— Nie boli — odpowiadał Jan, zaciskając zęby. Wódkę pił, ale jeść nie mógł.

Pod wieczór wzmogła się gorączka, ale przytomności Jan nie stracił. W nocy zasnął nawet na krótką chwilę. Przyśniło mu się coś strasznego. Garbaty karzeł, porośnięty cały długim, sinym włosem, skakał dokoła niego, śmiał się złośliwie usiłując go porżnąć nożem, którym machał na wszystkie strony. Dokuczyło to wreszcie Janowi:

— Ogon pod siebie, maszkaro, albo rąbnę cię pięścią między oczy. — A garbus śmieje się tylko i skacze. I właśnie wtedy, kiedy Jan sądził, że garbus znajduje się poza nim, z tyłu, potwór wpakował mu nóż z przodu w brzuch, aż po rękojeść. Ale z jamy brzusznej nie wypłynęła krew, tylko — szeleszcząc jakby wysypywana z worka — kukurudza żółta jak dukaty!...

Zbudził się po tym niesamowitym, groźnym śnie i nie zasnął już do świtu.

Dane Rakić, wysoki i chudy jak szczapa, zwrócił uwagę na jego bladą twarz i szklany zwrok. Noga spuchła jak walec. Skóra była gorąca i sucha. Oglądając nogę, powoli, badawczo, ze wszystkich stron, spytał go w końcu Dane:

— Co robić, Janie?

— Ha? — zapytał ranny, zaciskając zęby i tłumiąc ból.

— Z nogą jest źle. Spuchła, pozieleniała. Rana jest gorsza niż myślałem: goleń strzaskany... Dalibóg, potrzaskany gorzej niż gdyby był ze szkła!

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale powściągnął się aż zmarszczki na twarzy pogłębiły się, jak szramy od noża. Zaczął mówić naumyślnie o czymś, co nie miało żadnego związku z nogą Jana, jakgdyby ten surowy człowiek nie potrafił zdobyć się na odwagę powiedzenia prawdy o tym, o czym na podstawie rozumnej obserwacji był całkowicie przekonany.

WSPÓŁCZEŚNI PISARZE SŁOWIAŃSCY

IVAN DONĆEVIĆ

W PIERWSZYCH DNIACH

Minął dzień. Minęła noc. Jan mając wiele czasu do rozmyślań wycedził nazajutrz, zmrużywszy oczy:

— Róbcie, co umiecie! Czas z tym skończyć!

Dane na to:

— Nogę trzeba odciąć. W kolanie lub tuż pod kolanem.

Powiedziawszy, wyszedł na podwórko. Po niebie przemykały szybko chmury, chociaż księżyc świecił; ciepły wiatr szumiał w przydrożnej topoli, a koledzy — żołnierze śpiewali w chałupie głębokimi, silnymi głosami pieśń o walce i zwycięstwie. Usiadł Dane na progu stajni. Wsparł głowę na rękach i zamyślił się, myślał powoli, dokładnie.

Nazajutrz zaś rano, skoro tylko świt, pobielił okna chałup i stanął na straży zwisających i mokrych od rosy wąsów, wziął się Dane do roboty. Ostrzył w pocie czoła pilnikiem piłę stolarską, przeżartą przez rdzę; z trudem i uważnie nastawiał jej zęby, by cięcie było szerokie, wolne. Nóż wyostrzył tak, że za pierwszym ruchem przecinał w powietrzu włos wyrwany z głowy. Przepalił narzędzia nad ogniem, przemył je mocną wódką.

Następnie przypędził do chałupy trzech Włochów, wątłych i bladych, ze strachu: pięciu ich właściwie wygnał głód z garnizonu na wieś za kurami, ale dwu pozostało na drodze, z rozkraczonymi nogami, ponieważ próbowali zdjąć karabiny z ramion. Dane spojrzał znacząco na Włochów, przenosząc następgo. „Nie bój się", mówiły jego oczy, nie spojrzenie na Jana. Ów zrozumiał „jednego jęku z moich ust nie usłyszą. Partyzant żyje i umiera bez jęku".

Szło powoli. Chłopi i baby, których napchało się do izby, wybałuszyli oczy i wstrzymali oddech.

Dobrze odmierzywszy ciął Dane ostrym końcem noża na cztery palce ponad raną, gdzie tkanki były jeszcze zdrowe i przejechał nożem dokoła całej nogi. Następnie zrobił trzy cięcia w stronę kolana, oddzielił skórę i mięso tak, że krwawa masa przypominała wielki, niesamowity kwiat z trzema obfitymi płatami i słupkiem po środku — goleniem, który bielał w splocie mięśni i żył. Dźwięk piły w czasie piłowania był głuchy, jakgdyby przecinała na pół surową glinę; do zębów piły lepiła się krew, tłuszcz, miazga i opiłki tkanki kostnej. Dolna część nogi odpadła i leżała na stole. Spalona słońcem, owłosiona i zakrwawiona ręka Dana poruszała niezgrabnie igłą, szyjąc szerokimi ściegami szmaty mięsa. W końcu owinął kikut bandażami, przez które natychmiast przeciekała krew.

— Gotowe! — rzekł i opadł bez sił na krzesło; ten żylasty, zahartowany góral wyglądał na zmęczonego.

Jan w ciągu całej rzeźniczej operacji patrzył szeroko otwartymi oczyma na felczera, nie wydając ani jednego jęku. Twarz mu tylko pożółkła jak cytryna, a mięśnie na szczękach i grdyce napięły się tak, że włókniste linie pod skórą zarysowały się zupełnie wyraźnie. Na czoło i powieki wystąpiły grube jak groch krople potu. Mimo to nawet nie pisnął, nie jęknął.

Włosi rozglądali się z początku wokół siebie, przerażeni. Później uspokoili się nieco. Kiedy jednak odpiłowana noga upadła na stół, jeden z Włochów zemdlał i upadł na podłogę jak worek. Dwaj pozostali zakryli oczy dłońmi; spomiędzy ich palców spływały obfite łzy, a głośny szloch, podobny do czkawki wstrząsał ich ramionami.

— Patrzcie, słabe mają nerwy ci tutaj! — zauważył ostrożnie Urosz Uzelac, właściciel chałupy. przygryzając jeszcze mocniej cybuch fajki, z której wypuszczał szybkie dymy. — Przyszli tu do nas palić, zabijać, kraść kury, straszyć nasze kobiety i dzieci swoimi pióropuszami i karabinami! Ale na bohaterstwie się nie znają.

Jedna z kobiet przesunęła ręką przed oczyma, jakby odpędzając coś niewidocznego.

— Bohater nasz Jan! — rzekła.

— Dalibóg, bohater — dodała inna.

— Matko moja, już nie ma nogi! — ulitowała się nad nim trzecia.

Jan zaś, kiedy poprawiali mu zagłówek, próbował zażartować z siebie samego:

— Zawsze, prawdę powiedziawszy, z trudem zdobywałem się na opanki. Teraz przynajmniej jedną parę będę nosił dwa razy dłużej...

Próbował też uśmiechnąć się, ale bez skutku. Zamknął oczy i wyczerpany — zmęczony do kresu sił zasnął...

W jakieś dwa z górą miesiące później kuśtykał po trochę. Sam zrobił sobie kule z wierzbiny, okuł końce żelazem, włożył na bakier furażerkę partyzancką z jasno czerwoną pięcioramienną gwiazdą, chodził po wsi i mawiał:

— Żal mi tylko, że nie nadaję się już do walki.

VLADIMIR NAZOR

Z pieśni partyzanckich

1. MŁYN

Jak to błogo zasnąć gdzieś na wody brzegu
w szmer się jej wsłuchując pełen dziwnej mocy!
Huczy wód kaskada, młyny mielą zboże
od samego rana aż do późnej nocy.

Wodospadzie, który przeskoczyć chcesz góry,
by orzeźwić wszystko strumieniami wody!
O, gdyby tak czysta była nasza wiara,
silna na za wola, krzepkie nasze rody!

O, młynie nad Ramą, gdybyśmy umieli
tak cicho, a wiernie piec nasz chleb codzienny!
Jak słodko zasypiać nad twymi wodami,
gdy w dole pod tobą wody huk niezmienny.

2. DRINA

Groźnaś ty, Drino, porywcza, brutalna,
krwi żądna byłaś przez wieków szeregi;
tyś nie cierpiała okrętów ni brodów,
zrywałaś mosty, rwałaś tamy, brzegi.

My ujarzmimy ciebie — Rzeczne pale
graniczne zburzym na tobie, i dwory
nowe na twoim zbudujemy szale,
byś się łącznikiem, węzłem trwałym stała!

RIKARD NIKOLIĆ

Smutna dolina

Twarz ich wychudła, głowa ociężała,
idą doliną smutną, osądzeni,
przez Boga, ludzi całkiem opuszczeni,
bolesnych kiełków pełne dusze, ciała.

Niekiedy oczy szklane swe i suche
zwracają w bezmiar błękitnego nieba,
a wargi blade, żądne skórki chleba
rozjaśnia uśmiech wśród pustyni głuchej.

Wówczas w ich duszach płonie jasność nowa.
W niepomnych krzywdy, bólu, męki, biedy,
nadziei złotej kwiat się rodzi wtedy,
jak objawienie im Boskiego słowa.

Oczy ich mami żywa, jak na dłoni,
kraina obca, daleka, nieznana,
rozkoszna, cudna, jak fata-morgana
ludzi żeglarzy na wód morskiej toni.

Jak brat przy bracie serdecznie zbratani
iskrami woli będą niewygasłej:
by ruszyć dalej, ku przyszłości jasnej,
by wyjść z marazmu i chwastów otchłani.

Lecz wyjścia z dołu smutnego już nie ma.
Jak pies przeklęty bez końca się miota
dokoła wyżyn błyszczących żywota,
gdy nad nim z eje nieba głębia niema.

Twarz ich wychudła, głowa ociężała —
Doliną smutną wieczyście się trudzi
tłum porzucony przez Boga i ludzi,
od chorych kiełków by uleczyć ciała.

Na słabe barki krzyż cierpienia wkłada,
wlokąc go dołem z głębokim westchnieniem.
by go przekazać, z męczarni brzemieniem,
z oswobodzeniem tobie, śmierci blada.

ANTE CETTINEO

Ty i wiatr

Tylko o tobie wiatr mi gwarzy:
twe ciało każdy wiąz kołysze
i gdy się krwawy zachód żarzy,
twoim oddechem niebo dysze.

Chciałbym cyprysem stać się wiotkim,
ty — byś się przy mnie mirtem stała,
żebyśmy w nieba skurczu słodkim
dzielili dreszcze swego ciała.

Z ptakami, z górą, z żebrakami,
z rozdartym żaglem gdzieś w oddali
wiecznie samotni, z obłokami
byśmy się w ciszy wciąż błąkali.

Chciałbym być kwiatem aloesu,
ty — światłem nocnej bądź godziny,
nade mną oczy twe bez kresu
niech błyszczą niby dwa rubiny.

Chciałbym jak żagiel mknąć z przystani,
ty — falu niby sztandar biały,
żebyśmy słonym wiatrem gnani
mogli dać morzu żywot cały,

bo wciąż o tobie wiatr mi gwarzy,
twe ciało każdy wiąz kołysze,
i gdy się krwawy zachód żarzy,
twoim oddechem niebo dysze.

NOWELĘ I WIERSZE PRZEŁOŻYŁ Z CHORWACKIEGO STANISŁAW K. PAPIERKOWSKI

Dwie książki o życiu psychicznym zwierząt

Psychologia zwierząt jest dziedziną wiedzy, w której bardzo trudno jest zająć bezstronne stanowisko badacza. Ludzie interesujący się tą sprawą przeważnie ulegają silnie swoim uczuciom: najczęściej życzliwości lub ambicji. Przyjaciele zwierząt przeważnie skłonni są dopatrywać się w ich zachowaniu się cech ludzkich a nawet nadludzkich. Są pełni podziwu dla zwierząt, dla ich nadzwyczajnych instynktów, które człowiek zatracił, dla prostoty ich obyczajów i moralności, którą człowiek splamił przez swoją chytrość. Niektórzy dotąd podejrzewają u zwierząt istnienie jakichś wyższych zdolności poznawczych, z którymi trudno człowiekowi rywalizować. „Wrogowie" zwierząt działają natomiast głównie pod wpływem ambicji. Czują się osobiście obrażeni, gdy ktoś twierdzi, że mogą pochodzić od zwierząt lub mieć z nimi jakieś podobieństwo psychiczne. Chcieliby śladem Descartesa widzieć w nich automaty poruszane mechanicznie przez bodźce zewnętrzne. Radzi by byli pogłębić jak najbardziej przepaść między człowiekiem a resztą świata. Prof. Dembowski zajmuje stanowisko bezstronne. Nie obraża się ani się nie entuzjazmuje. Chce zdać sprawę z tego, jak jest naprawdę.

Jak więc jest naprawdę? Obydwie książki, „Psychologia zwierząt" i „Psychologia małp" przybliżają czytelnika znacznie do poznania istotnego stanu rzeczy w tym względzie. Mają przy tym tę osobliwą właściwość, że mogą oddać tę przysługę ludziom o bardzo różnym poziomie umysłowym. Są one doskonale dostosowane równocześnie do czytelników o różnych stopniach zainteresowania tematem i zaawansowania w rozumieniu jego problemów.

Stanowią więc te książki najpierw znakomitą lekturę dla ludzi, którzy chcieliby po prostu przeczytać coś ciekawego. Książki Dembowskiego są bardzo ciekawe. Są pełne konkretnych i zdumiewających faktów. Kogóż nie zainteresuje wiadomość, że można skonstruować taką maszynkę, która będzie lazła za światłem jak ćma (I. str. 33), że logiczne prawo sprzeczności ma swoje odpowiedniki fizjologiczne (I. str. 104), że nawet wymoczki potrafią się nauczyć pewnych sztuk gimnastycznych (I. str. 195), że pszczoły widzą promienie ultrafioletowe niedostępne dla oka ludzkiego, natomiast nie widzą zwykłych czerwonych (I. str. 251), że małpy potrafią wyszukiwać podobizny pokazanych im przedmiotów (II. str. 183), że istnieją małpy prostytutki (II. str. 251) itd. Takich „ciekawostek" jest w książkach Dembowskiego mnóstwo. Te, które przytoczyłem, wybrałem otwierając ją na chybił trafił. Sprawiają one, że są to czarujące „książki do czytania".

Ale w książkach Dembowskiego jest i poziom drugi, który pierwszemu zupełnie nie przeszkadza. Pasjonujące fakty i obserwacje układają się w zwarte rozdziały i tworzą bardzo systematyczny podręcznik zoopsychologii. Pierwszy tego typu podręcznik w języku polskim. Zawiera on wszystkie istotne osiągnięcia tej nauki do roku 1939. Jest oparty na znacznej literaturze przedmiotu (szkoda, że w pierwszej książce nie ma dokładnego przeglądu tej literatury). Zdaje sprawę z poglądów dawnych i nowszych, przytacza fakty, które stanowiły podstawę tych poglądów i fakty, które nie dają się z nimi pogodzić. Referuje problemy, metody i osiągnięcia.

Jakież są więc te osiągnięcia? Co wiemy o życiu psychicznym zwierząt? Wiemy, że zwierzęta dążą uporczywie do pewnych przedmiotów a innych unikają, że reagują rozmaicie na różne bodźce, że niektóre z tych reakcji są wrodzone i że bywają one nieraz ogromnie skomplikowane, że już nawet bardzo proste organizmy potrafią jednak korzystać także ze swoich osobistych doświadczeń i zmieniać swoje zachowanie się w sposób dla siebie pożyteczny, że zwierzęta zachowują te swoje doświadczenia przez dłuższy czas, że wykazują pewne formy życia społecznego, walki i współdziałania, że wreszcie zwierzęta o najwyżej zorganizowanym systemie nerwowym t. zn. małpy człekokształtne potrafią w sposób celowy posłużyć się narzędziem do przyciągnięcia pokarmu. To byłoby w gruncie rzeczy wszystko. Można tylko posuwać się coraz dalej w szczegółowej analizie tych głównych form zachowania się i książki Dembowskiego zawierają rzeczywiście wielkie bogactwo takich szczegółów. Można też badać różne stopnie tych umiejętności u różnych zwierząt. Autor przechodzi więc kolejno poszczególne rodzaje zwierząt: wymoczki, dżdżownice, pszczoły, kury, szczury i małpy. Na tych właśnie zwierzętach dokonywane są najczęściej eksperymenty w pracowniach zoopsychologów.

Czy jednak wszystkie te sposoby zachowania się zwierząt świadczą o ich zjawiskach psychicznych? Czy gdy pszczoła łatwo „uczy się" szukać miodu na niebieskim talerzyku a do czerwonego nie przylatuje, czy znaczy to, że „widzi" ona kolor niebieski a nie widzi czerwonego i że „pamięta" o tym, że na niebieskim kładę zwykle miód a na innych nie. Lub gdy małpa podstawia sobie skrzynkę i wyłazi na nią, aby dosięgnąć zbyt wysoko wiszącego banana, czy „przewiduje" ona wtedy skutek swojej czynności i czy „wymyśliła" ona sobie naprawdę ten sposób osiągania celu. Wiele przemawia za tym, że tak, i że wszelkie hipotezy czysto „behawiorystyczne" nie uwzględniające zjawisk psychicznych u zwierząt są sztuczne i nie zdają dobrze sprawy z rzeczywistości. Przybierają też one — zdaniem autora — raczej „tylko zewnętrzne oznaki naukowości" niż zgodne są z istotnym duchem nauki. Z drugiej jednak strony wątpliwe jest również, czy owe zwierzęce zjawiska psychiczne są takie same jak nasze ludzkie. Czy pszczole patrzącej na niebieski talerzyk jest tak samo niebiesko przed oczyma jak człowiekowi w tej samej sytuacji, czy jakoś inaczej. Prawdopodobnie nigdy nie odpowiemy sobie na to pytanie, jest to bowiem sprawa introspekcji. Nie potrafimy powiedzieć, jak się zwierzęta czują, gdy je coś boli, jak im jest przed oczyma, gdy coś widzą, w jaki sposób uobecniają sobie przedmioty nieobecne. Jest jednak rzeczą rozsądną przyjąć, że jakoś to czynią. Byłoby błędem „mechanistycznym" uważać je za automaty, których oczy działają tak jak komórka fotoelektryczna. Byłoby jednak również błędem „antropomofizmu" sądzić, że wytwarzają one takie same obrazy jak u człowieka. Taka jest teza ogólna podręcznika prof. Dembowskiego o zjawiskach psychicznych u zwierząt.

Jest jednak w książkach Dembowskiego jeszcze i trzeci poziom, przekraczający granice zwykłego, dobrego podręcznika. Jest ożywiający obie książki pogląd na świat autora, filozofia człowieka i uczonego. Filozofia ta, gdzie niegdzie formułowana explicite, gdzieindziej przeświecająca przez dobór faktów i uwagi krytyczne autora nadaje jego pracom swoiste piętno. Dembowski sam określa charakter tej swojej filozofii jako materialistyczny. „Materialistyczne stanowisko w poznawaniu praw przyrody stało się źródłem tylu ważnych zdobyczy" — pisze we wstępie do Psychologii zwierząt — „że trudno jest spodziewać się, abyśmy kiedykolwiek zechcieli powrócić do poglądów zdyskredytowanych". Materializm Dembowskiego ma jednak odcień specjalny. Silnie zwalcza różne „siły życiowe", „dusze" i „entelechje", a jednak nie usiłuje sprowadzić wszystkiego do procesów fizycznych i chemicznych. Sądzę, że przymiotnik „dialektyczny" scharakteryzowałby dobrze ten rodzaj materializmu i że nie będzie zbyt ryzykowne stwierdzić, że książki Dembowskiego są pierwszym polskim podręcznikiem napisanym świadomie w duchu materializmu dialektycznego.

„Powstanie życia na ziemi było potężnym s k o k i e m w procesie stawania się świata" — pisze Dembowski i wyraz „skok" nie jest tu wcale przypadkowy. Takich „skoków" jest więcej. Widoczne są one w różnicach jakościowych, jakie Dembowski widzi między zjawiskami fizyki i chemii a biologią, między fizjologią a zjawiskami psychcznymi, między zjawiskami psychicznymi i społeczno-kulturalnymi. Zasadnicze różnice nie wykluczają jednak bardzo ścisłych związków, dialektycznego przenikania się i jedności rzeczy różnych, a nawet sprzecznych. Analizowanie jakiegokolwiek zjawiska w oderwaniu od innych prowadzić musi na bezdroża. Chcąc ustalić prawa rządzące żywym organizmem nie można pomijać czynników fizyko-chemicznych, ale nie można też się do nich ograniczać. Cechy biologiczne oparte są o wewnętrzną strukturę fizyko-chemiczną ale istotny jest dla nich fakt dostosowania się do zewnętrznych warunków życia. To dostosowanie się jest wynikiem długiej historii i nie da się opisać w terminach samej fizyki i chemii. Sprawa ma się podobnie jak z płytą gramofonową. W płycie takiej chemik nie znajdzie nic prócz specjalnie ułożonych cząstek kauczuku. Ale nie to jest w płycie najistotniejsze. Istotne dla niej jest to, że w pewnch określonych warunkach wydaje ona głos. Analiza samej płyty bez wzięcia pod uwagę tych specyficznych warunków, do których jest ona przystosowana nie odkryje tej jej istotnej cechy. Cecha ta jest zasadniczo różna od cech fizyko-chemicznych, a równocześnie prawdą jest, że w płycie nie ma nic oprócz elementów fizyko-chemicznych. Tylko że elementy te mają w płycie specyficzną strukturę, dzięki której w specyficznych warunkach występują zjawiska zupełnie nowe.

Z życiem psychicznym ma się rzecz podobnie. Jest ono wynikiem jednego z najwyższych skoków ewolucyjnych. Opiera się ono również o specyficzną, bardzo wysoko zorganizowaną strukturę fizyko-chemiczną i bez niej byłoby niemożliwe. Zakłada także pewne biologiczne przystosowanie się do otoczenia. Samo jest również pewną formą tego przystosowania się, ale formą nową w porównaniu ze zjawiskami czysto fizjologicznymi i niedającą się opisać w terminach fizjologii.

Lecz i tu nie koniec rozwoju. Między życiem psychicznym zwierzęcia a życiem psychicznym człowieka zachodzi dalszy „skok", dalsza różnica jakościowa. Istotą życia biologicznego i psychicznego zwierzęcia jest jego przystosowanie się do środowiska biologicznego. Człowiek jednak żyje nie tylko w świecie przyrody, żyje również w świecie wytworów kultury. Sam je stworzył i sam się do nich dostosował. Jego życie psychiczne nabrało więc dalszych cech nowych, nie dających się opisać w terminach psychologii zwierzęcej. Jasne więc jest, że i odwrotnie, terminy zaczerpnięte z psychologii ludzkiej zawodzą przy opisie psychiki zwierząt.

Materia rozwija się bez ustanku. Każde nowe stadium jej rozwoju ma cechy swoiste, nie zatracając jednak swego związku z etapem poprzednim. Między poszczególnymi etapami ewolucji są skoki ale są i przejścia. Rozpatrując jakieś jej stadium trzeba widzieć, co wnosi ono nowego, ale nie zapominać też o tym, z czego wyrosło. Tak może dałoby się streścić najgłębszy nurt myślowy książek Dembowskiego.

Tadeusz Tomaszewski.

*) I tom. Jan Dembowski. Psychologia zwierząt. „Czytelnik" 1946.

II tom. Jan Dembowski. Psychologia małp. „Książka" 1946.

Z MŁODOŚCI ANDRZEJA STRUGA

(Dokończenie ze str. 5-tej).

kom. W szkole dla innych kolegów i dla przełożonych Gałecki był chłopcem spokojnym, zamkniętym w sobie i poważnym. Taka była opinia przeważnej części kolegów i jak się okaże — także przełożonych. Taka powaga i zdolność opanowywania się zgadzała się z jego skłonnościami do samotnictwa i z jego zamiłowaniami. Bo w tych czasach szkolnych Strug wyraźnie objawiał ów nerw literacki, który wskazywał na późniejsze wielkie powołanie. Jego wypracowania literackie zyskiwały uznanie kolegów, a w niektórych budziły może nawet zazdrość, wśród tych zwłaszcza, którzy na tym polu usiłowali z nim rywalizować. Do takich współzawodników należał przede wszystkim Tadeusz Ulanowski, późniejszy autor „Doktora Filuta". W owych zawodach literackich głos opinii przyznawał pierszeństwo Strugowi.

Może nie będzie zbyt ryzykowne twierdzenie, że jego sylweta duchowa z czasów chłopięctwa i młodzieńczości niewiele się różni od tej, którą sam tak plastycznie opisał w postaci Marka Świdy. Czyż nie jest to — trochę wystylizowany i wyceniowany — ten „pustelnik" kryjący się najchętniej w zakamarkach Zimnych Dołów, fantasta, marzący o tym, że zostanie astronomem, chłopiec, zdradzający wyraźny brak zamiłowania do systematycznej pracy (stąd te wieczne wakacyjne „poprawki")? Ten wreszcie rozbudzony uczuciowo młodzieniec, który zaczyna skrycie pisywać wiersze w pięknym „zeszycie w safianowej miękkiej oprawie"?

Nie dziwi nas też ten napozór trafny sąd wydany o nim przez jego najwyższego w tym czasie przełożonego, dyrektora Syngalewicza. Już po maturze, kiedy Tadeusz Gałecki starał się o przyjęcie do Instytutu Agronomicznego w Puławach, a kierownik tej instytucji zażądał opinii o byłym uczniu gimnazjum rządowego, dyrektor Syngalewicz odpowiada poufnym listem z datą 7 sierpnia roku 1893. W liście tym stwierdza, że Tadeusz Gałecki był uczniem „s p o k o j n y m, politycznie nie podejrzanym, ale pod tym spokojem mógł się kryć p a t r i o t y z m"; bo — jak pisze dalej — „znalazł u niego k s i ą ż k ę p o l s k ą traktującą o sprawach s p o ł e c z n y c h".

W tej charakterystyce znalazły się w zawiązku bodaj wszystkie wytyczne późniejszej wielkiej drogi życiowej Andrzeja Struga.

Paweł Gdula

Książki nadesłane w styczniu

Jan Kochanowski „Odprawa posłów greckich", opr. Konrad Górski, z cyklu „Klasycy literatury" t. II. Książnica-Atlas, Wrocław—Warszawa 1946, str. 44.

Charles Vildrac „Découvertes", opr. Anna Garczyńska, wyd. II „Biblioteczki Francuskiej" z. 4, Książnica-Atlas, Wrocław—Warszawa 1946, str. 28.

Romain Roland „Le Jeu de L'Amour et de la Mort", opr. Henryk Landy, wyd. II „Biblioteczki Francuskiej" z. 11, Książnica-Atlas, Wrocław—Warszawa 1946, str. 93.

Joseph Bédier, „Le Roman de Tristan et Iscut", opr. Anna Ratyńska, wyd. II „Biblioteczki Francuskiej" z. 16, Książnica-Atlas, Wrocław—Warszawa 1946, str. 80.

Beaumarchais „Le mariage de Figaro", opr. Irena Mayzel, wyd. II „Biblioteczki Francuskiej" z. 17, Książnica-Atlas, Wrocław—Warszawa 1946, str. 128.

T. Grzebieniowski „About England and America", podr. do nauki języka angielskiego, IV rok nauczania, Książnica-Atlas, Wrocław—Warszawa 1946, str. 144.

F. Jungman „Il faut aprendre le francais", podr. do nauki języka francuskiego, część I, Książnica-Atlas, Wrocław—Warszawa 1946, str. 132.

PRZEGLĄD CZASOPISM

„ODRODZENIE"

3-ci numer krakowskiego „Odrodzenia", pierwszego w odrodzonej Polsce tygodnika literackiego, rozpoczął druk nowej powieści utalentowanego beletrysty, Jerzego Andrzejewskiego, autora „Nocy". Powieść nosi tytuł „Zaraz po wojnie". Jest to pierwsza, jk dotąd, polska powieść powojenna o temacie współczesnym. Andrzejewski zrywa z wałkowanym przez wszystkich pisarzy powojennych tematem „okupacyjnym", który zaczyna coraz bardziej jałowieć, a tym samym nużyć. Aczkolwiek już pierwszy odcinek powieści nasuwa szereg uwag, z oceną wstrzymujemy się do ukończenia całości. Pozycję wartościową omawianego n-ru „Odrodzenia" jest recenzja nowej książki Zofii Nałkowskiej pt. „Medaliony" (wyd. „Czytelnika") pióra wybitnego krytyka, Kazimierza Wyki. Najwyższy walor „Medalionów" widzi Wyka przede wszystkim w najwyższej próby takcie pisarskim Nałkowskiej. „Nic bardziej kuszącego, ale też nic bardziej niebezpiecznego — pisze Wyka — jak temat okrucieństwa i obozów. Czy umiemy odróżnić, nawet u najlepszych, pokąd sięga ich kunszt pisarski, a gdzie się rozpoczyna żywe, nieprzetrawione mięso tematu?". Z tego trudnego położenia wybrnęła Nałkowska, zdaniem Wyki, dzięki swojemu „taktowi" i „dyskrecji", które to zalety zapewniły jej „wielkie zwycięstwo artystyczne".

Ten sam recenzent omawia w artykule „Sprawa Warszawy", z wrodzoną sobie wnikliwością i głębokim znawstwem istoty krytyki literackiej, książkę Kazimierza Brandysa pt. „Miasto niepokonane". Kwintesencję swoich uwag zawarł Wyka w stwierdzeniu, że „proza Brandysa jest więcej **widziana** niż **widziana,** ale zawsze „schludna, staranna, wypracowana i nie nosząca na sobie znamion wdrażającej się w rzeczywistość dociekliwości zmysłowej, jaka udziela się również czytelnikowi".

Stefan Szuman omawia jedną z najbardziej zajmujących pozycyj wydawniczych schyłku 1946 r. Jana Dembowskiego „Psychologia małp" podkreślając, że „Psychologia małp" jest bardzo pożyteczną książką jako podręcznik z zakresu psychologii, bo porównanie psychologii ludzkiej z psychologią zwierząt, a zwłaszcza małp, jest szczególnie pouczające dla studenta psychologii i pedagogiki. Książka ta znajdzie na pewno licznych czytelników. Także wśród osób, które po prostu będą chciały się zorientować w aktualnym zagadnieniu: co w rezultacie stwierdza nauka, jeżeli chodzi o psychikę małp w porównaniu z psychiką człowieka.

Nr 4 „Odrodzenia" przynosi interesujące uwagi **Celiny Bobińskiej** na temat art. Marii Dąbrowskiej „O przewietrzaniu historii" („Tydzień" Nr 22). W cytowanym artykule Dąbrowska wystąpiła ostro przeciwko nowym koniunkturalnym „zakłamaniom historycznym" — odpowiedź na to daje Bobińska w artykule zatytułowanym „A jednak — historię trzeba przewietrzać". Z całego szeregu niesłychanie trafnych uwag wyjmujemy jedną, znamienną dla charakterystyki „wielkich postaci historycznych", których błędy tak często przemilcza się w pracach historycznych, choćby ze względów „pedagogicznych" — uwaga znamienna i aktualna! Oto, „po tamtej wojnie Piłsudski tłumaczył — pisze Bobińska — delegatom przybyłym ze Śląska, że walka o Śląsk to trudna sprawa. Śląsk to stara kolonia niemiecka. Śląsk od 700 lat nie należy do Polski". Tymczasem, „stara kolonia niemiecka" — górnicy, hutnicy i chłopi polscy walczyli rozpaczliwie o przynależność do Polski". (Nb. Piłsudski tak samo zapatrywał się na przynależność Wielkopolski i Małopolskę Wschodnią — przyp. red.).

W tym samym numerze **Józef Garbacik** publikuje syntetyczny artykuł o wielkim humaniście włosko-polskim, Filipie Buonacorsim Kallimachu. Autor nie wnosi wprawdzie do znanych nam już szczegółów z działalności autora liryków erotycznych dla piękniej lwowianki niczego nowego, przypomina jednak zasługi Kallimacha dla rozkwitu oryginalnej i rodzimej kultury humanistycznej w Polsce XVI w.

„KUŹNICA"

Autor „Miasta niepokonanego" i „Drewnianego konia" **Kazimierz Brandys** próbuje na łamach 3-go numeru „Kuźnicy" określić postawę polityczną i ideologię faszystów, wychodząc z założenia, że „Inteligent polski nie zawsze potrafił oceniać prawdziwe znaczenie zjawisk swojskich i rodzimych... i łudził się, że mistyczne imponderabilia uchronią jego społeczeństwo, a zwłaszcza jego warstwę od wstrząsów, których przejawy zewnętrzne wydawały nam się niemiłe". Trudno stwierdzić, że tego braku orientacji uniknął autor, który zamierzywszy rzecz o charakterze socjologiczno-filozoficznym rozpuścił ją na przestrzeni czterech szpalt w rzadkim sosie polemiczno-publicystycznym. Brandys nie przekonał nas, że postawione sobie zagadnienie sam dokładnie zbadał i wystarczająco naświetlił.

Pozycją wysokiego gatunku jest zamieszczony w tym samym numerze „Kuźnicy" V odcinek **Andrzeja Stawara** o „Tadeuszu Żeleńskim-Boyu". Zarówno poprzednie jak i piąty odcinek świadczą, że właśnie Stawar ma prawo pokusić się o ze wszech miar pożądaną monografię jednej z największych postaci naszej literatury.

W dziale recenzyj zwraca uwagę rzecz **Ryszarda Matuszewskiego** pt. „Wzór dobrej prozy", poświęcona omówieniu dwu książek Jarosława Iwaszkiewicza „Nowa miłość i inne opowiadania" oraz „Młyn nad Lutynią".

4 Nr „Kuźnicy" z 28 stycznia br. przynosi niezmiernie wnikliwe uwagi prof. **Józefa Chałasińskiego** na temat „Pedagogika personalizmu i pedagogika socjalizmu" (odczyt wygłoszony na Walnym Zebraniu „Czytelnika" w Warszawie dnia 14 grudnia 1946 r.). Wybitny współczesny socjolog polski zwraca uwagę i omawia indywidualistyczny typ wychowania i techniki pedagogicznej, personalistycznej, który stanowił główny temat zainteresowań pedagogiki uniwersyteckiej przed wojną, a obecnie przeżywa swój renesans. Punktem centralnym rozważań autora artykułu jest: ideał wykształcenia, który „w dawnej technice pedagogicznej wiązał się ściśle z pojmowaniem nauki i kultury jako autonomicznych systemów kulturowych", podczas gdy „technika pedagogiczna rewolucyjnych związków młodzieży kieruje ją ku wiedzy jako wartości społecznej i jako narzędzia realizacji nowego społeczeństwa". Z takiego podstawowego założenia wyprowadza prof. Chałasiński pojmowanie nauki z punktu widzenia pedagogiki socjalizmu podkreślając, że właśnie „socjalizm pojmuje naukę i kulturę jako wartości społeczne".

W dziale recenzyj Brandys omawia powieść Zofii Nałkowskiej pt. „Medaliony" (wolimy recenzję Wyki z N-ru 3 „Odrodzenia"), a R. Matuszewski „Godzinę życia" (poezje) Seweryna Pollaka.

„WARSZAWA"

Niezależny dwutygodnik literacki „Warszawa", przynosi w N-rze 1 z 12 stycznia br. cenne uwagi **Pawła Hulki-Laskowskiego** o roli Fryderyka Nietzschego w kształtowaniu się hitlerowskiej ideologii o „nadczłowieczeństwie" narodu niemieckiego (Genealogia chybionego patrona); **Leonarda Podhorskiego-Okołowa** interesujący przyczynek do literatury poświęconej badaniom życia Adama Mickiewicza (Pierwsze miłowanie Mickiewicza) oraz kilka wartościowych utworów lirycznych zdolnego poety **Jana Szczawieja** (Nad ruinami — Wiara — Kraju piękny, jakże nie kochać — Jak gasnący pożar w oddali — Świat pozdrawia ukochaną — Święta). Szczególnie subtelną nutą liryczną wyróżnia się nie pozbawiony głębokiej refleksji i plastyki obrazu, a przy tym bogaty wersyfikacyjnie wiersz pt. „Świat pozdrawia ukochaną".

Całość, poprawną redakcyjnie, psuje zamieszczona na stronicy 5 autoreklama w postaci wybitych tłustym drugiem nazwisk autorów, których utwory ukazały się dotychczas na łamach „Warszawy".

„MYŚL WSPÓŁCZESNA"

„Myśl Współczesna" ze stycznia 1947 r. poświęcona jest w całości zagadnieniom Ziem Odzyskanych; zagadnienia te omawiają: Wł. Gomułka („Polska — a Ziemie Odzyskane"), K. Piwarski („Dzieje prawa Polski do Ziem Odzyskanych"), A. Bolewski („Gospodarcze znaczenie Ziem Odzyskanych"), E. Kwiatkowski („Nowe wybrzeże morskie"), W. Jastrzębowski („Struktura gospodarcza Europy przy obecnym układzie granic Polski"), W. Lechowicz („Spółdzielczość parcelacyjno-osadnicza") i R. Lutman („Problemy kulturalne Ziem Odzyskanych"). Numer zawiera ponadto bogatą kronikę Instytutów: Zachodniego, Bałtyckiego i Śląskiego.

q

„TEATR LUDOWY"

Pod koniec ub. roku ukazał się w Warszawie pierwszy zeszyt (podwójny) wznowionego czasopisma „Teatr Ludowy", pisma redagowanego od 1923 r. przez **Jędrzeja Cierniaka.** Zaczyna się zeszyt „Teatru Ludowego" przepięknym wspomnieniem o tym zamordowanym przez dzicz germańską apostole kultruy ludowej i ludowego teatru: o Jędrzeju Cierniaku pisze jeden z jego najbliższych współpracowników, **Jerzy Zawiejski;** Cierniakowi poświęcił **Władysław Pawłowski** swój wiersz pt. „Kajście to som?". W kolejnym słowie od redakcji czytamy, że nowi redaktorzy pójdą śladami Cierniaka starając się, by „Teatr Ludowy" był łącznikiem między planującym, porządkującym robotę w skali ogólnopolskiej Towarzystwem Teatru i Muzyki Ludowej a poszczególnymi, rozsianymi po całym kraju teatrami ochotniczymi; pismo ma ambicję stać się niezawodnym przyjacielem i nieodzownym doradcą w sprawach praktycznego działania wszystkich kierowników, reżyserów i przodowników teatrów ludowych zarówno na wsi jak i w mieście, bez względu na ich przynależność organizacyjną i partyjno-polityczną.

O ile w części I (artykuły) na czoło wybija się Zawiejskiego rzecz o Jędrzeju Cierniaku, to w części II (sprawozdania) na szczególną uwagę zasługują na obserwacjach oparte rozmyślania **Bronisława Lubicz-Nycza,** zatytułowane „Czy na dobrej jesteśmy drodze?". Doskonały ten znawca teatru ochotniczego, jego wnikliwy obserwator, a przy tym niesłychanie ostrożny krytyk — omówiwszy kilka ostatnich widowisk, zorganizowanych przez zespoły ochotnicze (ludowe) w różnych częściach Polski (w Lublinie tyczy to występów zespołów ludowych w ramach październikowego 1946 r. „Festivalu Sztuki"), wysuwa pod adresem tych zespołów i ich organizatorów kilka pytań, na które odpowiedzi mogą być tylko jednobrzmiące, że wiele spośród tych „występów", to poważne nieporozumienie, to dowód, że organizatorzy ich nie znajdują się na dobrej drodze. Lubicz-Nycz ma całkowitą słuszność, szczególnie gdy chodzi o występy zespołów ludowych — z pominięciem może tylko „Wesela Lubelskiego" — w ramach lubelskiego Festivalu Sztuki.

W dziale III zatytułowanym: „Materiały repertuarowe" pozycją najpoważniejszą jest bardzo zręczna dramatyzacja „Powracającej fali" Prusa, opracowana przez **W. Bruner-Nirzową,** oraz fragmenty „Szopki Krakowskiej" Jędrzeja Cierniaka.

Rozdziały następne: IV, V i VI zawierają obfity przegląd prasy, wydawnictw teatralnych i muzycznych oraz Kronikę.

Przeświadczeni o doniosłości roli, jaką odgrywał „Teatr Ludowy" przed wojną oraz o posłannictwie pisma w dzisiejszej naszej rzeczywistości Polski Ludowej — wznowienie „Teatru Ludowego" gorąco witamy. Redakcji pisma składamy serdeczne życzenia: „Ad plurimos annos"!

q

„TEATR"

Przed kilku dniami ukazał się podwójny zeszyt 6—7 miesięcznika „Teatr" za listopad i grudzień 1946 r., zawierający bogatą treść artykułową, recenzyjną i kronikarską. Zeszyt zaczyna się szkicem głośnego już dzisiaj pisarza, **Jerzego Zawiejskiego,** który w rzeczy pt. „A dzieje się to gdzieś, skoro się nie śni" ustala warunki sprzyjające powstaniu wielkiego dramatu w naszych czasach jako epoce walki o świat wartości.

Z powodu 50-lecia pracy scenicznej Aleksandra Zelwerowicza pisze **Edward Csato** o „Powojennych kreacjach aktorskich" wielkiego aktora, reżysera i wychowawcy szeregu pokoleń aktorskich.

Wspomnienie pośmiertne o znakomitej Marii Przybyłko-Potockiej zamieścił w numerze **Kazimierz Wroczyński, a Wanda Padwa** zestawiła „Repertuar teatrów w Polsce" w sezonie 1946/47. Numer kończy się „Rozmową z prezesem ZASP-u", Dobiesławem Damięckim (Damianem).

Dział recenzyj poświęcono sztuce Anny Świrczyńskiej „Orfeusz" (Świrczyńska, Horzyca, Srebrny).

q

KRONIKA TEATRALNA

— Teatr Miejski w Lublinie wystawia, z niesłabnącym powodzeniem, dwa naprzemian utwory: „Przyjaciel nadejdzie wieczorem" i „Moja żona Penelopa".

* * *

— W dniu 26.1 odbył się w Teatrze Miejskim w Lublinie wieczór recytatorski Władysława Surzyńskiego. Program „Od Cyda do żołnierza polskiego" i wysoki poziom jego wykonania spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem przez publiczność i krytykę.

* * *

— W ramach prac Korespondencyjnego Wyższego Kursu Nauczycielskiego ZNP odbył się w Szlarskiej Porębie zimowy kurs żywego słowa. Wzięło w nim udział 217 nauczycieli. Na kursie uruchomiono 10 grup przedmiotowych. Zajęcia obejmowały 5 godzin wykładów dziennie dla każdej grupy.

* * *

Kurs żywego słowa w Szklarskiej Porębie, który zakończył się w dniu 10 stycznia, obejmował dwie grupy słuchaczy. Jedna grupa to było studium dokończeniowe dla tych nauczycieli, którzy w marcu br. przystąpią już w Warszawie do egzaminu końcowego. Drugą grupę słuchaczy stanowiło studium początkowe. Na to początkowe studium przyjmowane są jeszcze i obecnie zgłoszenia. Przyjmowane są również zgłoszenia na drugi turnus studium dokończeniowego, który rozpocznie się w kwietniu br

Redaktor: Dr STANISŁAW K. PAPIERKOWSKI — Wydawca: FRANCISZEK TWARDOŃ
Redakcja i Administracja: Lublin, ul. Peowiaków 5 m. 13; tel. 30-45. Redaktor przyjmuje: we środy od 15—16. Administracja czynna codziennie od 9—13 i od 16—18. Rękopisów nie zamówionych nie zwraca się
Cena Numeru 15 zł — Prenumerata: rocznie zł 300; półrocznie zł 160, kwartalnie zł 80.—

Druk. Nr 1. Spół. Wyd. „Czytelnik", Lublin, Zamojska 24 — A-12034.